

Stanisław Schnür-Pęłowski

WINCENTY SZEPTYCKI

(Opowieść dziejowa)

Wydane w 75 egzemplarzach.

LWÓW

Nakładem „Ruchu katolickiego”

1899.



I.

Usque ad finem!... Dewiza ta, wyryta na medalu zakroczymskiego sejmu we wrześniu 1831 r, była hasłem iście żołnierskiem, godnem narodu, dobijającego się swych praw z bronią w ręku. I gdyby wytrwałość stała się cnotą Polaków na równi z męstwem, stwierdzonem tylokrotnie na polach bitew, to napis ów wrześniowy zdobiłby dziś sztandary niepodległego państwa. Los zrzucił inaczej. Niebawem bój ustał, choć nie brakło nam ni wodzów doświadczonych ni żołnierzy dzielnych, lub miejsc warownych, zdolnych jeszcze przez czas dłuższy do stawianiu skutecznego oporu nieprzyjacielowi. Nie stało tylko wiary w powodzenie sprawy powstania, lubo w chwili upadku tegoż liczylismy więcej wojowników pod bronią, aniżeli w pierwszych dniach rewolucyi listopadowej. Nie było naczelnika, zdecydowanego do wiedzenia walki na śmierć i życie, acz mieliśmy podostatkiem mężów, dla których wojna była najwłaściwszym żywiołem, a honor żołnierski bożyszczem.

Byli nimi żołnierze napoleońscy. Przeszli w zwycięskim pochodzie wzdłuż i wszerz całą Europę ci rębacze zawołani.

2

Obcymi im były podstępny i dyplomatyczne przebiegi, jakim i posługiwać się zwykła egoistyczna polityka wielkich mocarstw, frymarcząca losami narodów. W walce orężnej widzieli oni jedyne zbawienie ojczyzny i dla tego na jej pierwsze wezwanie rzucili rodziny i mienie, by w zwartym stanąć szeregu obok ognistej młodzieży. Ci weterani wytrwali do końca i ponieśli do grobu nieskażoną cześć żołnierską, złamani, lecz nieugięci.

Takim też był generał Wincenty Leon Szeptycki, bohater niniejszej opowieści.

Potomek starożytnej rodziny szlacheckiej, od wieków osiadłej na Rusi, której członkowie w dziejach cerkwi unickiej znakomitą odegrali rolę i senatorskie piastowali godności, ujrzał światło dzienne w Liczkowcach, na Podolu piątego kwietnia roku 1783. Ojcem jego był Jan Szeptycki, pan na Liczkowcach i Trybuchowcach, chorąży i namiestnik kawalerii narodowej, później generał-adjutant Jego Królewskiej Mci, matką Maryanna z Wielkiego Bobrowa, Bobrowska. O dziecinnych latach generała szczupłe doszły nas wiadomości. Wiemy tylko, iż miał siostrę Julianę, zaślubioną później Stefanowi Zborowskiemu, a matkę znanego poety, Tymona, oraz, że rodzice odumarli oboje rodzeństwo w wczesnym bardzo wieku. Wychowanie — jak się wyrazili współcześni biografowie Szeptyckiego — zawdzięczał on „prawie jednej naturze, która go obdarzyła żywością umysłu, złączoną z łagodnością, a zarazem wielką stałością w przedsięwzięciach, w dowód, że dwie sprzeczności mogą być połączone....” Osiadłszy na

3

roli we wsi dziedzicznej, Jakubowicach pod Lublinem, poświęcał się zrazu gospodarstwu. Ówczesna Galicya zachodnia, zwana także nową, celem odróżnienia od dawnego zaboru, obejmowała sześć cyrkułów: krakowski, kielecki, sandomierski, bialski, koniecki i lubelski, w których biurokracja austriacka gospodarzyła najfatalniej w świecie. Rząd cesarski nie przyczyniał się w niczem do ekonomicznego podniesienia świeżo pozyskanej prowincyi. Sprzedano za bezcen dobra narodowe, wycofano z obiegu złotą monetę, zastępując ją miedzią, oraz bankocetłami. Słowem, administracja tej części kraju nie przynosiła korzyści ani rządzącym ani też rządzonym. Nie obeszło się też bez prześladowań ludności polskiej ze strony urzędników, których dobór bardzo wiele pod każdym względem pozostawiał do życzenia. Co dziwniejsza, znaleźli się, acz bardzo nieliczni, Polacy, którzy z radością powitali nowych panów kraju. Do takich, zdaje się, wyjątków należał Sierakowski, naczelnik obwodu lubelskiego, głoszący publicznie, że gdyby wiedział, że posiada w sobie choćby jedną żyłę polską, toby ją sobie kazał wypruć. Natomiast Niemcy w tej części kraju osiedleni, ich synowi oraz córki spłaczyli się nader szybko. Wielu synów urzędników cesarskich służyło w armii Księstwa Warszawskiego.

Nie dziw przeto, iż młody Szeptycki, zasłyszawszy o formowaniu wojska w Warszawie, podążył co rychlej pod narodowe znaki.

Zabrawszy kilkunastu domowników, rzucił majątek, dający mu byt dostatni i mimo pościgu straży granicznej przekroczył

4

szczęśliwie kordon, by udać się do stolicy młodziuchnego Księstwa. Warszawa, cicha dotychczas i opustoszała chwilowo rezydencja Prus Południowych, przedstawiała widok ruchliwego obozowiska. Z pospolitego ruszenia, wśród którego celowały marsową postawą oddziały Sieradzan i Kaliszan, formowano regularne pułki jazdy. Tworzyły się legie piechoty z rekruta nowozacieżnego, z jeńców zabranych pod Jeną, z weteranów legionów włoskich, którzy radzi byli złożyć kości na ziemi ojczyznej. Mimo znacznych ciężarów, połączonych z utrzymywaniem armii francuskiej, duch ofiarności publicznej zdawał się wzrastać z każdym niemal dniem. Za przykładem zacnego Wybickiego, który na pomnożenie wojska oddał całą swą gotowiznę, posypały się hojne ofiary Radolińskiego, Kuczyńskiego, Skórzewskich, Sułkowskich, Mielżyńskich, firmujących własnym

kosztem nowe pułki. Nie brakło więc ochotników i pieniędzy, ale nie dostawało oficerów, w braku których niższe stopnie oficerskie powierzano młodzieży ziemiańskiej, jako obeznaney od dziecka z bronią i z koniem, a przytem posiadającej pewien stopień ogólnego wykształcenia.

Szeptyckiemu dawano patent porucznikowski do jednego z świeżo powstałych pułków, ale młodzieniec pragnąc nabyć w krótszym czasie doświadczenia bojowego, przyjął rangę podporucznika w lekkokonnym, polskim pułku gwardyi Napoleona I. i otrzymał odnośną nominację w dniu dwunastym czerwca 1807 r.

Słów kilka należy poświęcić historii tego pułku, liczącego w swych szeregach

5

kwiat młodzieży z całej Polski. Formację lekkokonnego pułku polskiego gwardyi postanowiono w głównej kwaterze cesarskiej w Finkelstein, w dniu szóstym kwietnia t. r. z wyraźnem zastrzeżeniem, że wstęp do korpusu szwoleżerów dozwolony był w pierwszej

linii właścicielom nieruchomości, lub też ich synom, między ósmym a czterdziestym rokiem życia. Ochotnicy winni się byli zaopatrzyć własnym kosztem w konia, w mundur, oraz w kompletny rynsztunek na wzór konnych strzelców gwardyi, ulubionego pułku Napoleona, utworzonego z dawnych jego guidów. Pułk ten — jak to słusznie zauważył generał Załuski — miał tworzyć rodzaj reprezentacyi narodowej przy osobie cesarskiej, a składała go nietylko młodzież, rozpoczynająca zawód wojskowy, ale służyli w nim także żołnierze dawniejsi. Ponieważ ziemianie nie mogli dostarczyć pełnej liczby ochotników, przeto rząd Księstwa warszawskiego utworzył szeregi pułku także dla nie szlachty. Tak więc obok Radziwiłłów, Gedroyców i Szeptyckich służyli w szwoleżerach też mieszczanie, jak młody Kiliński, lub Koch. Uzbrojenie szwoleżerów składało się pierwotnie z pałasza, z karabinka, oraz z pary pistoletów i dopiero pod koniec r. 1809, otrzymali szeregowcy lance, które wszakże zatrzymano po pewnym czasie tylko w pierwszym szeregu, podczas gdy szereg drugi występował zbrojny w karabin. Mimo to urzędowa nazwa pułku pozostała i nadal *Cheveau-Legers Lanciers Polonais de la Garde*.

Uniform szwoleżerów był wielce malowniczy. Składały go przedewszystkiem: czapka

6

karmazynowa, sukienna, (u oficerów sztabowych aksamitna), z metalowem złożonem półsłońcem u przodu i z złocistą literą *N* na białem tle w pośrodku. Potrzeby wszelkie u czapki, podobnie jak szlify i akselbanty, były u oficerów srebrne, u szeregowych białe. Strój służbowy i paradny zarazem tworzyły granatowa kurtka i także ubranie spodnie z wyłogami, oraz z lampasami karmazynowymi. Oficerowie, będący na służbie, używali szarfy srebrnej, zaś pasy do pałasza i do ładownicy były białe, starannie czyszczone. Dopełniały całości stroju granatowe płaszcze oficerskie i białe dla szeregowców. Tak więc mundur szwoleżerski był wydoskonalonem uzupełnieniem uniformu dawnej kawaleryi narodowej i nie bez racyi książę Józef, lustrując pierwszy oddział pułku, wyruszający z Warszawy na linię bojową, powtórzył kilkakrotnie z naciskiem:

— Ach, jak mi to przypomina kawalerję narodową! To istna kawalerja narodowa!

Tkwiła w tem powiedzeniu pewna ironia, gdyż nie przypuszczał wódz naczelny, by świeżo zaciężna młodzież, tak rychło zdołała się pozbyć wielkopańskich narowów i przywyknąć do bezwzględnej karności, cechującej starą gwardyą cesarską. Ale i w roku trzynastym, podczas rewii, odbywanej pod Dreznem, gdy piętnaście szwadronów bojowych szwoleżerskiego pułku przeciągało przed Napoleonem w pełnym galopie, na pytanie cesarza:

— A co książę! Ozy masz co podobnego? — odparł bez wahania książę Józef.

7

— Co do powierzchowności nie mam, ale mam równe pułki co do wewnętrznej wartości.

Była to niepoślednia pochwała dla całej armii Księstwa, gdyż pułk lekkokonny słynął z brawury żołnierskiej wśród ogółu napoleońskich wojsk. Opowiadano sobie cudowne rzeczy o znakomitym siłacz, jakim był Józef Stadnicki, brygadyr szwoleżerski, który niesfornego konia, ująwszy za ucho, jedną ręką obalał o ziemię. Nieustępował mu pod względem siły brygadyr, Piotr Wasilewski. Kładł on na ziemię dwie lance z drzewa twardego, okute podwójnie i ująwszy każdą rękę po jednej lancy za tylce, podnosił obie na raz wywijając niemi z największą łatwością. Porucznik Ambroży Skarżyński słynął natomiast z celnego rzutu lancą, gdyby dzirytym, w cel upatrzonego i przeszywał pociskiem nieprzyjaciela na wylot! Szef szwadronu, Seweryn Fredro, zdumiewał wszystkich współzawodników nietylko siłą, ale i zręcznością, niepodobną do naśladowania. Najroślejszego konia przemakiwał z łatwością. Znany z siły i postawy był też pułkownik Zielonka, który wśród wiarusów wyróżniał się wstrzeźmliwością, gdyż pijał tylko czystą wodę, podczas gdy szeregowiec szwoleżer, niejaki Kłoczewski, siłacz jakich mało, zdobył sobie prawo do podwójnej racyi chleba i mięsa, które zaledwo były w stanie zaspokojenia olbrzymiego jego apetytu. Ten to Kłoczewski chadzał w zapasy z mamelukami, służącymi w armii hiszpańskiej i stanawszy na rusztowaniu budującej się stajni, podnosił na linie w dół spuszczonej jedenastu bisurmanów w górę.

8

Taki żołnierz musiał nawet wśród wielojęzycznej armii napoleońskiej zjednać sobie mir i poważanie, a jeżeli czem grzeszył, to chyba szaloną odwagą i wygórowanem poczuciem honoru, które wielu dzielnych wojowników o zgon samobójczy przypawiło. *Ces Polonais! C'est tout honneur....* — zwykł był mawiać cesarz o szwoleżerach gwardyi.

Nie od razu jednak i nie bez licznych ofiar zdobył sobie pułk lekkokonny tyle chlubną reputację, tem bardziej, ile że nie znalazł się w całym komplecie na linii bojowej, lecz w miarę postępu organizacyi, poszczególne szwadrony wyruszały z koszar mierowskich w Warszawie, do głównej kwatery cesarskiej. Wymarsz następował co miesiąc. Pierwszy wyruszył z swym szwadronem Łubieński, zaś oddział, wiedziony przez kapitana Radziwińskiego, pod którego rozkazami pozostawał Szeptycki, opuścił Polskę dopiero z końcem września 1807 roku. Ciągnąc przez Szląsk i Saksonię ku granicom Francyi, doznawali Polacy, tworzący kolumnę w sile pięciuset koni, jak najlepszego przyjęcia ze strony mieszkańców, w czem niemałe ułatwienie przedstawiała znajomość języka niemieckiego, jakim przeważna część naszych oficerów władała. W ostatnich dniach grudnia t. r. dotarła komenda Radziwińskiego do Chantilly, skąd po krótkim odpoczynku skierowano ją na Bordeaux, nie mówiąc wcale

wiarusom, iż przeznaczono ich do Hiszpanii, której ujarznienie stało się najbliższym celem polityki pierwszego cesarstwa. Murat wiódł zaborcze wojska w głąb kraju, którego niedołączni władcy miasto

9

stawienia oporu, płaszczyli się u stóp korsykańskiego zdobywcy. Wieść o pochodzie ku granicom Hiszpanii, nie wywarła wcale dodatniego uczucia wśród naszego żołnierza. Podbój kraju, który niczem wobec Francji nie zawinił i pragnął zachowania swej niepodległości, mniej sympatyczne sprawiał wrażenie u oficerów, pomnących, w jakim celu chwycili za oręż, zaś wiarusy szli niechętnie za Pireneje, skąd dochodziły ich niewesołe wiadomości o niedostatku, jakiego armia francuska w przechodzie przez kraj ten niegościnnie doświadczała. Ale służba, nie drużba. Po odbyciu w Bajonnie przeglądu, marszałek Bessières, jako naczelnie dowodzący gwardią cesarską, dał szwoleżerom rozkaz do dalszego pochodu. Kolumna ruszyła w drogę i przekroczywszy rzeczkę Bidassoa, znalazła się już na hiszpańskiej stronie. Irun, pierwsze miasteczko w którym naszym wypadł postój, dziwnie ponure na Polakach sprawiło wrażenie. Wąskie uliczki, domy z ciosowego kamienia, nie bielone, kryte dachówką, z oknami bez szyb, o szczelnie zawartych okienicach, trąciły pustkowiem. Ludność z obawą i z niechęcią spoglądała na przybyłych, odmawiając im jadła i przytułku. Niebawem też wykryła się przyczyna owego lęku. Oto Francuzi, przeciągający dnia poprzedniego przez Irun, opowiadali mieszkańcom, iż w ślad za nim i postępują Polacy, żywiący się mięsem ludzkim... Wkrótce łagodne postępowanie żołnierza, a co więcej, krzyż, widniejący na kokardzie, zdobiącej kask szwoleżerski, przejednały nieco podejrzliwych Hiszpanów.

— Ci Polacy muszą być rzymsko-katolickiego wyznania — gwarzyli między

10

sobą. — Noszą krzyż święty, tak jak my, są więc naszym i przyjaciółmi.

Od tego też czasu innem okiem spoglądali na Polaków, ale nie pozbyli się wobec nich uczucia nienawiści, naturalnego zresztą wobec najezdników ich ojczyzny. Cóż jednak mówić o nieprzyjaznem usposobieniu ciemnego, sfanatyzowanego tłumu, gdy i wśród arystokracji krajowej nienawiść przeciw Francuzom w jaskrawej występowała postaci. Jeszcze nie doszli szwoleżerzy do Wittoryi, gdy już wśród wojska zaczęła krążyć straszna opowieść o pewnym grandzie, który zaprosiwszy do siebie oficerów francuzkich na obiad, potruł ich wraz o całą swoją rodziną..... Nakazano żołnierzom, by w stosunku z krajowcami zachowywali najwyższą ostrożność, co wszakże nie na wiele się przydało, zwłaszcza podczas przemarszu przez wsie oraz miasteczka, gdzie w braku koszar musiano nocować w prywatnych kwaterach. Za przybyciem do Wittoryi otrzymał pułk rozkaz eskortowania rodziny królewskiej, przewożonej z rozkazu Napoleona do Bajonny. Rozłożono więc szwoleżerów wzdłuż gościńca eszelonami. Szeptyckiemu, mianowanemu w dniu 12. marca 1808 roku porucznikiem, wypadła stacja w Pancerbo. Po przyjeździe króla Ferdynanda do Francji, gdzie traktowano go jako jeńca, ściągnięto w kwietniu t. r. szwoleżerów do Madrytu, celem odbywania służby przy osobie Murata, pełniącego w stolicy funkcję cesarskiego namiestnika. Ludność stołeczna nie ukrywała swej niechęci przeciw Francuzom. Zamierzona abdykacja króla Ferdynanda, oraz niedołącznego jego ojca Karola IV. wywołały

11

w całym kraju silne wzburzenie. Oficerowie porzucić musieli kwatery w mieście. Mieszkali i stołowali się w koszarach, z których wieczorami nie wolno się było wydalać. Przezorność owa okazała się wielce wskazaną, gdyż w dniu drugim maja t. r. nastąpiły krwawe rozruchy na ulicach Madrytu. Ludność, zamknawszy się w domostwach, razila z dachów kupiące się na placach zbórnych wojska i usiłowała odciąć przybywające z dalszych przedmieść oddziały. Murat stanawszy na czele jazdy, kazał piechocie oczyszczać zajęte przez buntowników domostwa i przy pomocy artylerji stłumił rokosz w przeciągu kilku godzin. Do uspokojenia miasta przyczyniły się również patrole szwoleżerskie, wiedzione przez oficerów, znających już cokolwiek język hiszpański. Murat srożył się bezprzykładnie wobec powstańców. Wszystkich ujętych z bronią w ręku kazał rozstrzelać i przez kilkanaście dni z rzędu strzały egzekucyjnych plutonów rozlegały się w cieniistych alejach na Prado, nie oszczędzając starców, kobiet, ni też wyrostków zaledwo z dzieciństw wyszłych. Barbarzyńskie to okrucieństwo, spowodowało wśród ludności pragnienie odwetu.

Mieszkańcy zatruli wodę w studniach, używanych przez Francuzów, tudzież racye mięsa, chleba i wina, dostarczane dla magazynów wojskowych. Musiano więc stawiać warty przy studniach, a żołnierz, pozbawiony przez dziesięć dni prowiantu, żywić się musiał własnym przemysłem. Ale i w tych dniach terroryzmu wojskowego Polacy zdołali sobie pozyskać szacunek, a nawet pewną względność ludności, która widząc, iż

12

nasi żołnierze nie znęcają się nad powstańcami, oszczędzała ich nawet podczas walki ulicznej.

— Zostawcie ich, to są Polacy! — podnosiły się ostrzegające głosy, gdy wzburzone tłumy spotykały po drodze podążające do koszar oddziały szwoleżerze, a kilku naszych, osaczonych przez czerń, ocalili Dominikanie przed doraźną zemstą powstańców, uprawdzając ich prawie przemocą do pobliskiego klasztoru. Bo też niedowiarstwo i lekceważenie ceremonii religijnych, rozpowszechnione wśród ogółu armii francuskiej, obcemi były Polakom, którzy wyniosłszy z ojczyzny przywiązanie do wyznania rzymsko-katolickiego, pod tym względem korzystnie wyróżniali się od innych pułków cesarskich. Wiarusy, spotykając podczas służby księdza, spieszącego do chorego z Panem Bogiem, zdejmowali czapki i zsiadali z koni, co wielce ujmowało Hiszpanów, którzy przy nadarżającej się sposobności, zgładzali bez skrupułu żołnierzy francuzkich, uważając ich jako heretyków.

W pułku szwoleżerskim na długie lata upamiętnił się fakt skrytobójczego morderstwa, którego ofiarą padli dwaj szeregowcy, Ciesielski i Rzędzian podczas postoju w Mirandzie. Zakwaterowano ich na noc do młyna, z kąd znikli bez wieści, zostawiając konie, broń i rynsztunek u młynarki, kobiety olbrzymiego wzrostu i siły. Gospodyni badana w tej sprawie, oświadczyła stanowczo, że obaj żołnierze wyszli wieczorem do miasta i na nocleg nie wrócili do jej domu, lecz ponieważ zaginięni byli ochotnikami szlacheckiego pochodzenia, przeto wypadek

13

zbiegostwa zdawał się być stanowczo wykluczony i wyjaśnienie tajemniczego zdarzenia, zlecono jednemu z oficerów, którego w miasteczku pozostawiono. Jakoż po upływie dni kilku wyłowiono z rzeki Ebro straszliwie poranione ciała obu żołnierzy,

zawinięte w płaszcze, obciążone kamieniami. Rzemienie od lejc, którymi oplątano zwłoki przed ich rzuceniem w głębie, rozluźniły się niebawem i uniesione prądem na powierzchnię rzeki, zdradziły popełnioną zbrodnię. Trudniejsza była sprawa z ujęciem sprawców krwawego czynu i dopiero stanowczość marszałka Masseny przyspieszyła ukaranie w innych. Marszałek bowiem, dowiedziawszy się o wszystkim, zagroził miastu wycięciem w pień mieszkańców i pożogą, jeżeli w ciągu nocy nie wydadzą mu morderców. Zaraz też rano dostawiono zbrodniarzy do kwatery Masseny. Byli nimi dwaj młynarczy, którzy z namowy swej pani zgładzili śpiących żołnierzy.

Młynarka bowiem, podsłuchując pod drzwiami izby, zauważyła, że obaj młodzieńcy, układając się do snu nie mówili pacierza i uważając ich za innowierców, zaszytowała nieszczęsnych przy pomocy służby, a ukrywając zbroczone mundury pod kamienną posadzką w sieni, trupy zawlokła wraz z czeladzią do rzeki. Skrytobójców ukarano szubienicą, zaś wydobyte z wody ciała pogrzebano z rozkazu marszałka w miejscowym kościele przed wielkim ołtarzem.

Przywrócony zbrojną ręką w Madrycie pokój nie był długo trwały. Wprawdzie żelazna prawica Napoleona zwykła była

14

kruszyć wszelkie przeszkody, ale i samowola despotycznego władcy musiała okazać się bezsilną, wobec woli obrażonego w najświętszych prawach narodu. Dynastia Burbonów przestała panować w Hiszpanii. Brat cesarski, Józef, dotychczasowy władca Neapolu, zasiadł w lipcu 1808 r. na tronie hiszpańskim, ale w tym samym dniu, w którym narzucony monarcha odbywał wjazd tryumfalny do stolicy, wybuchło powstanie ludowe w Kadyksie i w Sewilli. Powstańcy oświadczyli się za Ferdynandem VII i pokonali wysłany przeciwko nim dwudziestotysięczny korpus generała Duponta. Dupont, otoczony przemagającymi siłami powstańcami, kapitulował pod Baylen; bunt ogarnął południowe prowincje. Napoleon zawiadomiony o klęsce, zawołał w gniewnym uniesieniu:

— Powiadają, iż Dupont chcąc ocalić armię i przeszkodzić jej doszczętnemu zniesieniu, nie miał innej drogi wyjścia, krom kapitulacji. Lepiej by się stało gdyby wszyscy zginęli z bronią w ręku. Żołnierzy mogą dostać na zawołanie, ale utraconego honoru odzyskać niepodobna!

Powiedzenie to znamionuje egoistyczną politykę cesarza Francuzów, nie wahającego się nigdy przed krwi rozlewem, lecz niemniej było prawdą, że klęska Duponta stała się początkiem pogromu zwycięskich do tej pory najezdników na iberijskim półwyspie. Sewilska junta rozwinęła podziwu godną działalność wśród szerokich mas ludowych. Tajona nienawiść przeciw Francuzom potężnym buchnęła płomieniem, bierny opór mieszkańców przerodził się w bój

15

otwarty o śmierć i o życie. Za przykładem południowców ruszyły się północne prowincje. Marszałek Bessières, naciskany przez hiszpańskie wojska regularne, stoczył z nimi bitwę pod Rioseco w dniu czternastym lipca t. r. Rezultat spotkania długo był wątpliwy. Już piechota hiszpańska, opanowawszy plac boju, wydawała radosne okrzyki i wołając: *Viva el Rey!* ciskała w górę kaszkiety, gdy zadrżała ziemia od koni tętentu i stojąca do tej chwili w odwodzie jazda marszałka ruszyła do ataku.

Obok grenadyerów gwardy i szarżował na nieprzyjaciela szwadron polskich szwoleżerów pod wodzą Radziwińskiego. W galopie uderzyła jazda ta na nieprzyjaciela i wśród grom kiego okrzyku: *Vive l'empereur!* przejechała po zwycięskiej piechocie, a w chwil kilka później rozniosła na szablach zastępujących jej drogę dragonów *de la Reyna*, wyborowy pułk kawalerii hiszpańskiej. W bitwie pod Rioseco odznaczył się między innymi Szeptycki, dowodzący pierwszym plutonem w szwadronie i od tej chwili Bessières szaszczał go przy każdej sposobności osobliwymi względami. Na pobojuwisku złączyły się z szwadronem Radziwińskiego, pozostałe w Madrycie i wysłano w pomoc marszałkowi, oddziały pułku szwoleżerów, które odtąd przeszły pod komendę generała Lassale'a, naczelnie dowodzącego jazdą. Był to najdzielniejszy bez wątpienia generał kawalerii w całej armii cesarskiej i jego umiejętnemu kierownictwu zawdzięczali nasi żołnierze porządek, karność i wyrobienie, cechujące starą gwardyę.

Bessières, zwolennik łagodnego postępowania z powstańcami, nie zbyt gorliwie

16

ścigał pobitego nieprzyjaciela, sądząc, że klęska, zadana przez niego wojskom regularnym, sama przez się przyczyni się do uspokojenia buntowniczej ludności. Wieść o przegranej pod Baylen zniewoliła ostrożnego wodza do odwrotu, nie rozumiałego dla młodego żołnierza, ale usprawiedliwionego w zupełności ogólną, paniką, jaką wywołało ustąpienie króla Józefa z Madrytu. Francuzi cofali się na całej linii i zatrzymali się dopiero pod Wittorią, gdzie król Józef, otoczony całą armią, oczekiwał przybycia Napoleona, który zjawił się w Hiszpanii w pierwszych dniach listopada t. r. Mylna taktyka generałów hiszpańskich, którzy na czele niewprawnych band powstańczych, miasto wojny podjazdowej, staczać chcieli batalię z ostrzelanym w boju żołnierzem napoleońskim, otworzyła cesarzowi drogę do Madrytu. W dniu 10 listopada przyszło do walnej rozprawy pod Burgos. Hiszpanie, pobici na głowę, stracili przeszło trzy tysiące żołnierzy w rannych i w zabitych, dział trzydzieści i wiele sztandarów. W bitwie pod Burgos brał też udział pułk naszych szwoleżerów, uzupełniony przybyłym i z Polski szwadronami i podzielony wedle zwyczaju gwardyjskich pułków jazdy na dwa regimenty. Pierwszym dowodził pułkownik Krasiński, drugim grosmajor Dautancourt.

Wygrana pod Burgos otworzyła, jak już wspomniano, Francuzom drogę do stolicy, ale Napoleon zbliżał się ku niej nie głównym gościńcem, jeno bocznymi drogami, wiodącymi na Lermę i Samosierre. Szwoleżery szli w przedniej straży i wysłani na podjazdy badali pilnie okolicę. Posunęli

17

się w ten sposób do Osma, lecz wstrzymani nowym rozkazem, zawrócili na Aylon i Raza, a w dniu trzydziestym listopada znaleźli się u stóp Samosierre. Strome to i skaliste pasmo gór, prawie niedostępne, przerzynała jedna, jedyna droga, szerokości ośmiu do dziesięciu łokci, wykuta w skale i wijąca się węzłem ku szczytom. Już samo położenie czyniło to przejście trudnem do przebycia. Hiszpanie obsadzili je silnym oddziałem piechoty i liczną artylerią. Na każdym załomie drogi ustawili po cztery działa, a nadto na górującej nad całym wąwozem pozycyi, stanęło dział ośm. Przekopy wzdłuż drogi poczynione i ustawione w poprzek wozy amunicyjne, utrudniały jeszcze bardziej położenie atakujących, wystawionych na potężny ogień działowy oraz na celne salwy hiszpańskiej piechoty, ukrytej wśród skał, ciągnących się po obu stronach gościńca.

Cesarz wysłał silny oddział piechoty w góry, celem obejścia nieprzyjacielskiej pozycji, sam zaś z trzecim szwadronem szwoleżerów, dowodzonym przez Jana Koziętulskiego, zatrzymał się u wylotu wąwozu, gdzie piechury francuscy, usiłujący sforsować przejście, gęstym padali trupem. Mimo pochmurnego, zimnego poranku, było tam gorąco. Ogień działowy i karabinowy zdawał się wzmacniać z każdą chwilą, a w rzadkich chwilach przerwy, rozlegały się wśród skał radośne okrzyki nieprzyjaciela. Jak powiada stara pieśń żołnierska:

Dumne Hiszpany z szczytu gór szydziły:
Pójdźcie tu, pójdźcie, dawno was czekamy,

18

Wam tu Kastyłki dadzą uścisk mity,
Wam stary Madryt otworzy swe bramy!

Niecierpliwy władca nie chciał czekać na nieomylny rezultat obejścia nieprzyjaciół przez swe wojsko, a widząc zniszczenie, sprawione przez ogień Hiszpanów w kolumnach szturmowych piechoty, dał szwoleżerom rozkaz do ataku. Podobno nieodstępny Berthier miał zwracać uwagę cesarza na niepodobieństwo użycia jazdy w tak górzystej pozycji, lecz usłyszał niecierpliwie wyrzeczone słowa:

— Zostaw to Polakom!

Rozpoczął się atak. Z okrzykiem: Niech żyje cesarz! ruszyli szwoleżery, sformowani w czwórki, ku wąwozowi. „Waleczny i pełen cnót najszlachetniejszych Koziętulski — opowiada Szeptycki w swej relacji o Somosierze — przeprowadziwszy błyskawicą przez grad kul karabinowych hufiec nieśmiertelny do samej góry bateriów, mając konia zabitego i suknie wskroś przeszyte, stracił w mgnieniu oka czoło oficerów, podoficerów i niemal pół szwadronu od ognia kartaczowego. Napoleon widząc drogą połowę, nacierającą z większą jeszcze zaciętością, posłał jej szefa Łubieńskiego w pomoc z małym oddziałem, do którego dołączył pluton przy nim na służbie będący. Po drugim natarciu ucichły działa, po trzecim Termopil zdobyty. Szesnaście armat uwięczyło upór żelaznych rycerzy,

Piechota hiszpańska, która kilka niedziel wprzód wypędziła wojska francuskie ze wszystkich stanowisk od Kadyksu do Ebru i przyparła ich do Pirenejów, bojąc się być odcięta przez garstkę pogromczej konnicy,

19

z gór na dół cofać się zaczęła. Lecz ledwie zeszły pierwsze kolumny, mężny ten szwadron natarł znowu na nich, a czego nie zniszczył, rozprószył. Na ten widok cała piechota z kilkunastu tysięcy złożona, niedawno zdziwiona, a teraz tknięta jakby piorunem przestachu, po drogach, płaszczyznach i bliższych górach zaczęła szukać schronienia. Dwie mile gonił Łubieński rozbite ich szczątki, zostawując następującym po nas wojskom zbieranie bezbronnym. Rozpędziwszy rezerwę, przeleciawszy bagaże, kasę i wszystko, co było nieprzyjacielskiego, od ostatniego żołnierza i ostatniego ich wozu, nie oparł się aż w Buy-Trago. W tej, ostatniej pogoni dwa przykłady ludzkości i karności dobrze zrozumianej, odznaczyły żołnierza pułku Krasieńskiego. Pierwszy o pół mili od Somosierra, gdzie nas srogi widok przeraził kilkunastu niewolników francuskiej piechoty, powiązanych, w części pokłutych, a w części porąbanych i jakby umyślnie na drodze nam podrzuconych, (zdaje się, że wojsko rezerwowe dopuściło się tego okrucieństwa). Żołnierze nasi zgrozili przejęci, bliscy jeszcze zakrwawionego grobu tylu ofiar ojczystych, nie splamili żadną zemstą tego dnia chwały, chociaż im nie brakło bezbronnym różnego stopnia. Drugi przykład pod samym Buy-Trago się zdarzył. Jużemy ostatni furgon przechodzili, kiedy niektórzy żołnierze spostrzegłszy na nim kobietę, biorąc ją za kantynierkę, prosili oficerów, żeby im pozwolił wina się napić, na co, gdy otrzymali pozwolenie, bardziej znużeni pobiegli do wozu, lecz zamiast wina znaleźli kasę i zaraz napowrót wstąpili do szeregów.

20

„Po skończonej całej przeprawie szef Łubieński — słowa Szeptyckiego — posłał mnie do pułkownika Krasieńskiego, a gdybym spotkał cesarza, do samego cesarza, z oznajmieniem tego wypadku i po dalszy rozkaz dla szwadronu. Z zadziwieniem spostrzegłem na pół drogi Napoleona, nieopowiedzonego żadnym wojskiem, jadącego sobie stępem. Jenerałowie Sarasy (*powinno być: Savary*) i Durosnel, o kilkadziesiąt kroków przed nim będący, uprzedzili mnie o wielkim zadowoleniu Napoleona. W samej rzeczy znalazłem go w najlepszym humorze. Kazał mi oświadczyć oddziałowi, że są warci być jego gwardią, powtarzając kilkakrotnie z widocznym ukontentowaniem: *Vous etez, de braves Polonais*. Zresztą kazał szwadronowi czekać przybycia całej gwardii, a kasę równo między wszystkich podzielić. Po danym rozkazie oficerowie dzielili garściami złoto i srebro, zaczynając od żołnierzy; tu nie należy zapomnieć, że byli tacy, którzy swoją część darowali żołnierzom. Wkrótce nadeszły gwardye. Stare grenadyery i szassery, którzy tylko między sobą żyli, wpadli do naszego biwaku, ściskali z rozrzewnieniem Polaków, nazywali ich odtąd kamratami, a widząc, że byli zmordowani, sami wieczrę dla nich gotowali. Oficerowie ich, dalecy od grzeczności wyszukanej dworaków, nie wynosili nas pod obłoki, ale i nie zazdrościli, równie dobrzy, jak szczerzy, otwarcie nam wyznawali, że i my im odtąd nic zazdrościć nie potrzebujemy. Tym czasem Napoleon, który nie miał zwyczaju, tylko po wielkich i stanowczych bitwach dyktować *bulletin*, uznał Somosierrę godną swego pióra, a powątpiewając,

21

albo nieprzypominając sobie podobnego natarcia jazdy, nazwał je atakiem świetnym, jakiego nigdy może nie było. (*Charge brillante sit en fut jamais*).

Po małym odetchnięciu nazajutrz, pułkownik Krasieński, na czele godnego go pułku przodkował całej armii, ucierając się z nieprzyjacielem aż do wzięcia Madrytu. Jeszcze się miasto bronilo, jeszcze nie wzięto Retiro, kiedy Wilczek, brygadier natenczas piętnastoletni, z dwoma żołnierzami wpadł do jednej z bram Madrytu, z której dwa działa ustawicznie strzelały, a rozpędziwszy kanonierów, jedną z tych armat przyprowadził cesarzowi. Napoleon ozdobił go krzyżem i przepowiedział w nim znakomitego oficera.

Nie wspominam tu czynów żyjących. Ci może znajdują jeszcze porę przypomnienia się ziomkom, lecz ci, którzy należą już do potomności, niechaj się stają wzorem następującego pokolenia. Cienie poległych pod Somosierrą, mianowicie Dziewanowskiego i

Krzyżanowskiego, oficerów najpiękniejszych nadziei i ty pełen, chwały Kozietułski, któryś był zasłużył mniej dolegliwą śmiercią opuścić nas na łonie własnej ojczyzny, odbierzcie hołd wam winny tych rodaków, którzy na Was patrzali i tych, którzy o was czytać i z chlubą wspominać nie przestaną!“

Tu koniec relacji Szeptyckiego, kreślonej w sierpniu 1821 r. a powtórzonej z pewnemi zmianami oraz opuszczeniami w tygodniku warszawskim, *Wandzie* oraz w późniejszym o wiele lwowskim *Dzienniku literackim*. Opowieść rzeczona, lubo pod każdym

22

względem zasługująca na wiarę, jako wyszła z pod pióra naocznego świadka, wymaga wszakże uzupełnienia pewnymi szczegółami, choćby tak błahymi, jak przytoczona przez Andrzeja Niegołęwskiego anegdota o starym szwoleżerze, który w przededniu bitwy zapaliwszy lulkę u ogniska przed Napoleonem roznieconego, miał zamiast podziękowania rzec wobec cesarza:

„Ja jemu tam — tu wskazał na góry — podziękuję!...

Oto porucznik Niegołęwski dotarł podczas ataku wraz z wachmistrzem Sokołowskim aż do czwartej baterii i pierwszy rzucił się na armaty, lecz skłuty bagnetami padł niemal bez ducha na zdobytem dziale. Tam go też znaleziono po bitwie a cesarz własnoręcznie przypiął legię honorową zaledwo co ocuconemu przez towarzyszy bohaterowi. Szarża samosierska drogo kosztowała naszych z pierwszego szwadronu, który ruszył pod komendą Kozietułskiego; legło pięćdziesięciu siedmiu zuchów a w ich liczbie postępujący na czele kolumny porucznik Krzyżanowski. Sam Kozietułski, kontuzjonowany silnie, straciwszy konia, oddał komendę

kapitanowi Dziewanowskiemu, który po chwili legł śmiercią walecznych wraz z porucznikami Rudowskim oraz Rowickim. Ciężką ranę od kartacza odniósł też kapitan Piotr Krasieński zaś szwoleżer Izabelewicz ugodzony w żołądek odłamem pocisku działowego, siadł na ziemi i sam usiłował zatrzymać wychodzące z rany wnętrzości. Mimo to cesarza, przejeżdżającego przez wąwóz, witali ranni okrzykiem: „Niech żyje cesarz!“, dziwnie przypominającym w tej

23

chwili pozdrowienie gladiatorów, mijających w cyrku łożę cesarów... Poległych w tem spotkaniu grzebano z cesarskiego rozkazu w pełnych mundurach, po dwóch w jednej trumnie.

W trzy dni później Madryt poddał się Napoleonowi, który podczas przeglądu wojsk, odbytego w stolicy, nie skąpił Polakom pochwał, ni też zaszczytnych odznaczeń. W liczbie dekorowanych, znalazł się też Szeptycki, ozdobiony krzyżem legii honorowej. Po krótkim w Madrycie postoju, szwoleżery przydzieleni do korpusu marszałka Bessieres’a, ucierali się z Anglikami, a raczej z jazdą hanowerską i w połowie lutego 1809 r. otrzymali rozkaz powrotu do Francji. Ciągnąc wolno na czele całego korpusu gwardyi, znaleźli się wiarusy w Paryżu, gdzie doznali jak najlepszego przyjęcia a zarazem doczekali się przybyłego świeżo z Polski szwadronu ochotników, którymi pokryto straty, poniesione podczas wyprawy hiszpańskiej.

Musztrowanie rekrutów, rewizya koni, rynsztunku, i mundurów, zniszczonych całoroczną kampanią, zabrały kilka tygodni czasu. Szwoleżery, pomieszczeni w koszarach ulubieńców cesarza, pułku strzelców konnych gwardyi, bratali się ze starą gwardyą, która na ich cześć wyprawiała świetną ucztę w gmachu szkoły wojennej. Podczas bankietu spełniano toasty na cześć pułku, tudzież narodu polskiego, a po biesiadzie szwoleżery w bermycach, w kaskach w i kołpakach, zaś Francuzi w polskich czapkach, pomienianych na znak koleżeństwa, paradowali po bulwarach i teatrach paryskich.

24

W ostatnich dniach marca t. r. opuścił pułk szwoleżerski Paryż i w spiesznym pochodzie na Strassburg oraz Niemcy podążył nad Ren. Odbywano dziennie po dwa marsze, a wszędzie zastawano już przygotowane jadło i napitek dla żołnierzy tudzież furaz dla koni. Wieść o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich przez arcyksięcia Karola, doszła nad Sekwanę w dniu dwunastym kwietnia a już w pięć dni później cesarz znajdował się w Donauwörth, zkąd wydał pamiętną proklamację do książąt związku reńskiego, zagrzewając ich do boju przeciwko Austrii. W przeciągu następnego tygodnia los kampanii rozstrzygnął się. W odezwie Napoleona do wojska, datowanej dwudziestego czwartego kwietnia z Regensburga, czytano co następuje: „Żołnierze! Ziściliście moje oczekiwania. W ostatnich dniach święciliśmy zwycięstwo w bitwach, pod Than, Abensberg i Eckmühl, tudzież w spotkaniach pod Preysing, Landshut i Regensburgiem. Przednie me straże przekroczyły już Inn, przed upływem miesiąca stanimy w Wiedniu!“

Zanim jeszcze spełnić się miała dumna owa zapowiedź, dopędził Krasieński wraz z swym pułkiem cesarza Napoleona w Braunau i odtąd stale towarzyszył głównej kwaterze, przyłączony do świty monarszej. W dniu dziesiątym maja ujrzeli nasi wiarusy widniejącą w dali wieżę świętego Szczepana. Nie przypuszczając nawet możliwości oporu ze strony stolicy, cieszyli się wygłodzeni męczącym pochodem gwardziści nadzieją wygod i przysmaków, jakich w Wiedniu użyć mieli. Szeptycki opowiada w swych

25

Wspomnieniach: Józef Załuski — zaprosił mnie do znanego traktyernika schönbruńskiego, Jana, na bazar — kwaśną kapustą, potrawę specjalną, wiedeńską. Przyjąłem zaproszenie z uwagą, że tak smacznej kaska nie łatwo dostąpimy teraz w Wiedniu, jakieśmy to mieli na zawołanie niegdyś w cywilnej sukni.

— Jakto? — odrzekł mi — czyż ty sądzisz, by Wiedeń miał się bronić?

Ledwo te słowa wymówił, aż tu się daje słyszeć pierwszy strzał armatni od strony Wiednia. Upadła nasza nadzieja łatwego posiłku...

Nie dając wszakże za wygraną, pospieszyli obaj przyjaciele zaraz po zajęciu Schönbrunn do restauracyi Jana, ale zastali kuchnię pustą. Wszyscy mieszkańcy schronili się do stolicy, zabierając z sobą zapasy żywności. Tak więc ludzie i konie cierpieli głód po dawnemu, zajmując wygodne mieszkania. w opuszczonych pałacach w Hietzing. Konie stały w parterze, panowie rozłożyli się na pierwszym piętrze, ale z próżnej spiżarni, nikt się nie pożywił, a wynędzniałe rumaki szczypały chciwie nisko strzyżoną trawę, na gazonach ogrodowych. Jedynym zbytkiem na jaki sobie można było pozwolić, stało się wypranie bielizny za hojną oczywiście zapłatą. Po bombardowaniu miasta, czemu przyglądali się, Szeptycki wraz z Załuskim z gloriety

schönbrunńskiej, nastąpiła kapitulacja stolicy. Rzemieślnicy i restauratorowie wiedeńscy nie mogli się uskarżać na brak odbytu u oficerów gwardyi, płacących za wszystko gotówką i bez targu. Wypoczynek kilkudniowy był tem

26

pożądański dla zmęczonego żołnierza, ileż niebawem nastąpiła dwudniowa walka pod Aspern i uciążliwe rekonesansy, podejmowane celem utrzymania komunikacji z nadciągającą w pomoc armią włoską. W batalii wagramskiej uczestniczyli szwoleżery w słynnym ataku jazdy, którym odparto korpus księcia Lichtensteina i w wielkim ruchu kawalerii, jakim spodziewano się wyzyskać zwycięstwo, łamiąc szyk środkowy armii cesarskiej. Tym razem szczęście nie sprzyjało Francuzom; zaraz w pierwszej szarży Bessières, kontuzjonowany, oddać musiał dowództwo, a generał Lassale, ugodzony kulą w czoło, padł w kilka chwil później.

Objął po nich komendę generał Walter ale w braku stanowczych rozkazów stał bezczynny i dopiero pułkownik Krasieński rozpoczął na własną rękę atak po obszernej równinie, przedstawiającej dogodny, jak się w pierwszej chwili zdawało, teren do działania jazdy. Przyszło przy tej sposobności do starcia z drugim pułkiem ułanów Schwarzenberga, rekrutowanym z Galicji a ponieważ pokopane przez piechotę austriacką doły przeszkadzały ogólnej szarży, ścierano się przeto w pojedynkę, przyczem z obu stron walczących padały groźby, przekleństwa i obelgi w polskim wygłaszane języku..... W końcu udało się naszym obejść zdradliwe doły i walka przybrała bardziej stanowczy charakter. Cesarskim spieszyły w pomoc co raz to świeże szwadrony, ale ostatecznie szwoleżery, wsparci przez strzelców konnych gwardyi, wzięli górę i ułani w rozsypce rzucili się do odwrotu.

27

Po wygranej bitwie ruszyła jazda w pościg za zwyciężonymi, i dopiero w cztery dni później otrzymali szwoleżery rozkaz powrotu do Schönbrunnu celem pełnienia służby w głównej kwaterze. Cesarz pragnął nagrodzić walecznych i w tym celu odbywał codziennie przegląd poszczególnych pułków w dziedzińcu pałacowym. Przyszła niebawem kolej do popisu na szwoleżerów, którzy z najlepszą fantazją stawili się na placu, nie wywiadziawszy się poprzednio, gdzie im stanąć wypadnie.

Zrazu zaczęli się szykować za oficyną i dopiero sam Napoleon wskazał Żółskiemu oraz Szeptyckiemu, mianowanemu w dniu 1. czerwca tr. kapitanem, stanowisko, przed głównym wejściem pałacowym, gdzie im kazał się rozwinąć. W pośpiechu źle zrozumiano rozkaz cesarski i manewr wypadł nieszczególnie a z powodu braku książeczek służbowych u żołnierzy, intendent Daru, pan orderowy, nieść musiał gwałtowny wybuch gniewu ze strony Napoleona, który w najwyższym uniesieniu zawołał na szwoleżerów:

— Precz z nimi, niech się na nich nie patrz!...

Wiarusy zawrócili w prawo i czwórkami, galopem, wypadli najbliższą bramą z dziedzińca. Widząc to cesarz, odzyskał dobry humor i zwróciwszy się do otaczającej go świty, zauważył o Polakach z uśmiechem:

— Ci ludzie tylko bić się umieją...

W kilka dni później gniew pański przeminął. Przekonawszy się dowodnie, że w administracji pułkowej panowały ład i porządek, kazał Napoleon ponownie defilować

28

szwoleżerom przed sobą, okazując przytem zupełne zadowolenie oficerom i żołnierzom. Posypały się na nich pieniężne nagrody oraz krzyże, a gdy po zawarciu pokoju cesarz opuszczał Schönbrunn, przypadł szwoleżerom w udziale zaszczyt eskortowania jego osoby do granicy bawarskiej. Przez Bawaryę, Württemberg i Baden powracał pułk do Francji, podzielony na drobne oddziały i dopiero w pierwszych dniach grudnia t. r. znalazł się w Chantilly, gdzie mieszkańcy owacyjne przyjęcie zgotowali zwycięzcom z pod Rioseco, Somossiiery i Wagram. Nie dano wszakże żołnierzowi spoczywać na laurach. Już w chwili przybycia do Chantilly otrzymał pułkownik Krasieński rozkaz cesarski, by oddział, złożony z stu pięćdziesięciu ludzi, ruszał bezzwłocznie do Hiszpanii. Zaraz też przed Nowym Rokiem, pierwsza kompania szwoleżerów, wiedzona przez Żółskiego, udała się w pochód ku Pireneom, lecz w Ustaritz, pogranicznym miasteczku baskijskiem, dopędził oddział ten kapitan Szeptycki, za którym nadciągnęły furgony z lancami i z rymarzami. Zaraz też rzemieślnicy zajęli się sporządzaniem u strzemion tulejek na tylce lanc, podczas gdy troki na karabinek przeniesiono na lewą stronę siodła, ponieważ lanca zajmowała bok prawy kawalerzysty. Równocześnie postarano się o proporczyki biało-czerwone i wkrótce żołnierze oswoili się dostatecznie z bronią, przypominającą im staropolską kopię.

Zimę dziesiątego roku spędzili szwoleżery w górzystej mieścinie Salvatiera, gdzie kwatrowali razem z mamelukami, dowodzonymi przez pocziwego Alzatczyka, pułkownika

29

Kirmanna i mimo olbrzymich śniegów, zalegających całą okolicę, ocierali się od czasu do czasu z krążącymi w tych stronach guerillasami. Dopiero z nastaniem wiosny rozłączyli się wiarusy z mamelukami i przeszli do wsi Grannon, leżącej na drodze do Vittoryi. Komendę nad oddziałem objął Szeptycki i oczekując na przybycie pułkownika Delaitre'a, zaprawiał żołnierzy do użycia lancy oraz innych manewrów. Na instruktora w robieniu lancy, przysłano szwoleżerom wachmistrza lancyerów, Zbroińskiego. Był to weteran jeszcze z włoskich legionów, wyrobiony pod znakomitą komendą Roźnieckiego, który sztukę swą wpoił dokładnie nowym towarzyszom broni. Po upływie kilku tygodni, nadciągnęły wreszcie z Francji dalsze oddziały szwoleżerów, z pułkownikiem Delaitre. Mimo to guerillasy nieustannie krążyli w górach, zabierali żywność i furaże, a nawet podstępowali pod miejscowości, zajęte przez Francuzów i alarmowali załogi tychże. Jednym z najśmielszych partyzantów był niejaki Amur, który niepokoił całą okolicę, staczał walki z pomniejszych komendami francuskimi, lecz za zbliżeniem się znaczniejszych oddziałów wojsk cesarskich, przepadał bez śladu wśród gór niedostępnych. Groźniejszym bez porównania od Amura był srogi wódz guerillasów, Mina, który uwijał się głównie po Aragonii i Nawarze i przecinał komunikację z Francją. Wysłano przeciw niemu generała Rogneta (*tu i poniżej powinno być: Roguet*), z oddziałem piechoty i z kompanią szwoleżerów. Rognet postępował z podejrzanymi o sprzyjanie Minie krajowcami z całą bezwzględnością. Najłżejsze posądzenie wystarczało

30

mu, by rozstrzelać na miejscu pojmanych wieśniaków, którzy nie dość jasno odpowiadali na zadawane im pytania. Nieszczęśni ginęli w obecności najbliższej rodziny z determinacją bohaterów. Nie wiązano im oczu. Ale barbarzyńskie te egzekucje chybiały zamierzonego celu, gdyż rodziły tylko liczniejszych prozelitów dla sprawy wolności. Lud czcił pamięć straconych, gdyby męczenników, powtarzając głośno:

— Zginęli za ojczyznę. Dusze ich prosto pójdą do nieba!

Ściganie partyzantów Miny wśród skał i urwisk, było szczególnie uciążliwe dla jazdy. Nieraz szwoleżery wieść musieli konie za cugle po spadzistych ścieżkach, gdzie każdy krok chybiony groził im śmiercią, gdy nagle z szczytów skalnych, ginących wśród chmur, padały gęste strzały guerillasów, szerząc straszliwe zniszczenie wśród Francuzów. Żołnierze dobywali resztki sił, pnąc się na wyżynę, na której spodziewali się zastać przeciwnika. Ale zanim stanęli na miejscu, już Mina był za dziesiątą górą. Zaskoczony niespodzianie, zdołał zawsze wymknąć się z matni. Pomysłowym był wielce. Klasycznym w całym znaczeniu był fortel Miny, osaczonego w wąwozie pod San Pedro, gdy na Francuzów, idących do ataku, wypuścił roje pszczoł, ukryte w porzuconych rozmyślnie bagażach. Ludzie, konie i muły, wszystko to, cięte straszliwie przez podrażnione owady, rozbiegło się w rozmaite strony. Żołnierzom twarze i ręce popuchły. Konie szalały i unosiły jeźdźców, zaś muły, na których grzbiecie umieszczono pokryte skórą ule, porozbijały się o skały.

31

Zanim zdołano jakikolwiek ład przywrócić w szturmowej kolumnie, już oddział powstańczy wycofał się bez straty z pułapki, zostawiając Francuzom uczucie ponownego zawodu i zniechęcenia. Jakoż Rognet dał tym razem za wygraną, i powrócił, nic nie wskórawszy, do Logrono, gdzie znużonym bezskutecznym pościgiem żołnierzom, należał się dłuższy wypoczynek. Na domiar złego, tyfoidalna gorączka jeła dziesiątkować oddział generała, który, nie mając z sobą żadnego taboru, musiał, powracając do Logrono, zostawiać chorych po drodze. Chcąc uniknąć mąk straszliwych, zadawanych jeńcom przez mściwą ludność, opuszczeni przez towarzyszy chorzy kończyli najczęściej samobójstwem, a zwłoki ich nie pogrzebane, stawały się pastwą dzikiego zwierza.

Mimo to, trwał żołnierz wiernie przy sztandarze ojczystym, choć nie zbywało na pokusie, odwodzącej go od przysięgi służbowej. Rozrzucali gęsto Hiszpanie na linii placówek odezwy, wzywające Polaków do porzucenia sprawy Francji. Nie bez racji głosiły owe proklamacje, iż naród katolicki, sam wolności pozbawiony, nie powinien przykładać ręki do ujarzmienia niepodległego kraju. Rozumowanie to nie trafiało do przekonania żołnierza, dla którego z czasem honor wojskowy stał się górującym uczuciem. Dlatego też bez szemrania ruszyła wiara na ponowną ekspedycję pod rozkazami srogiemu Rognetowi, który zebrawszy sześciotysięczny oddział jazdy, oraz piechoty, wybrał się raz jeszcze przeciw Minie, ukrytemu w górach Sierra Cebollera. Wyprawa wyszła nocą; zdrójca, Hiszpan, wiódł straż

32

przednią, wskazując kierunek pochodu. Schwytanych po drodze jeńców, Rognet nie żywił, a tylko usilne prośby Polaków ocaliły od rozstrzelania zgrybiałego plebana wiejskiego, którego generał chciał ukarać śmiercią za udzieloną powstańcom gościnę.

Pod Janguas przyszło do spotkania z guerillasami, którzy tym razem dali Francuzom pole i bili się z zawziętością straceńców. Bitwa przeniosła się w ulicę miasteczka i zakończyła się wycięciem w pień zamkniętych na cmentarzu kościelnym Hiszpanów. Zwycięzcy z dymem puścili mieście. Cała ludność poszła pod nóż. Zdziczały żołnierz szalał bez końca i miary, pławiąc się we krwi bezbronnych starców, gwałcąc kobiety, dzieciom roztrzając czaszki o ściany domostw, zrabowanych doszczętnie. W tem miasteczku — opowiada w swych Pamiętnikach kapitan Płaczkowski — „popadło się nam kilka wachlarzyków kobiecych z materii atlasowej, białej i z słoniowej kości, zrobionych jako paszkwil na króla Józefa; bo na nich był wyryty portret jego a pod spodem było wierszem opisane jego spotkanie, przywitanie i bawienie się z nim w pałacu św. Marcina, gdy do stolicy Madrytu na króla wjeżdżał i że te damy, co się bawiły z nim, były to nierządnicze z klasy najpodlejszej, umyślnie na to przysłane, ubrane i ustrojone bogato, jakby jakie grandowe, na wzgardę jego osoby”...

Pod koniec maja przeniesiono szwoleżerów do Castroxeris nad Pisinergą, który to posterunek nieustannie niepokoiły bandy powstańcze; klasztor służący za koszary naszym żołnierzom, musiano obwarować z powodu

33

częstych napadów guerillasów a gdy w upały żołnierze chcieli użyć kąpieli w rzece, to stawiano silny oddział wojska na brzegu celem zabezpieczenia kąpiących się od zasadzki nieprzyjaciół. Mimo ciągłego niebezpieczeństwa, wśród alarmów i wycieczek, czynionych przez partyzantom, znaleźli oficerowie dość czasu i ochoty, by w dawnym refektarzu klasztornym urządzić szereg zabaw z tańcami. Przystrojono refektarz odświeżenie, z trębaczy stworzono orkiestrę balową, zaś miejscowy alkał zajął się z polecenia komendanta rozesłaniem zaproszeń w mieście i w okolicy. Tancerek nie brakło. Natomiast mężczyźni usuwali się od tych zabaw.

W Castroxeris stali szwoleżery przez ośm miesięcy z rzędu i w ciągu tego czasu przyszło do znaczniejszego spotkania z Miną pod miastem Bellorade. Powstańcy liczyli około pięć tysięcy ludzi pod bronią. Mimo to jednak ponieśli klęskę i po kilkogodzinym boju oddział Miny został doszczętnie zniesiony. Świetna szarża szwoleżerów, prowadzona przez Szeptyckiego rozstrzygnęła o losie bitwy, w ciągu której kilkunastu oficerów powstańczych wzięto do niewoli. Jeńców kazał Bessières rozstrzelać. Ocalał tylko jeden jedyny z nich, siedemnastoletni chłopczyna. Szwoleżery wzięli go między siebie, dali mu płaszcz i furażerkę, w którym to przebraniu udało się wiarusom uprowadzić biedaka niepostrzeżenie do własnych kwater, ztąd już z pomocą mieszkańców uszedł szczęśliwie.

Początek 1811 roku zastał szwoleżerów w Valladolid, z kąd z wiosną wysłano ich na

34

spotkanie korpusu Masseny, wracającego z niefortunnej wyprawy portugalskiej. W ślad za resztkami świetnego korpusu ciągnęli Anglicy, których odparto pod Fuentesbuoso i ścigano aż do Bajadoz. Brał też udział pułk szwoleżerów w wyprawie portugalskiej i w bitwie pod Alfnatis i kapitan Szeptycki odpierając dragonów angielskich, zagrażających naszym działom, odniósł ciężką ranę. Komendę szwadronu objął po nim Żaluski. Utarczki z Anglikami, tudzież uciążliwa służba garnizonowa, wreszcie pobór

nałożonej na poszczególne miasta kontrybucji zatrudniały naszego żołnierza przez następnych kilka miesięcy, więc z uczuciem szczerzej radości, powitała wiara rozkaz cesarski, odwołujący ją w dniu pierwszym lutego 1812 roku do Francji.

W Wielką sobotę stanął pułk w Tuileryach przed cesarzem, który odbywał przegląd. Zapowiedział żołnierzom powrót do Polski. Odpowiedzieli mu okrzykiem: „Niech żyje cesarz!”

Napoleon przygotowywał drugą — jak ją nazywał — wojnę polską, tak wielkie budzącą nadzieje w sercach całego narodu. Nikt nie przypuszczał nawet możliwości klęski, zapał był ogólny. Widziano już Polskę wolną i niepodległą od morza do morza. Tem też dziwniejsze wrażenie wyrzucić musiały na Szeptyckim słowa generałowej Krasińskiej, wychowawcy marszałka Małachowskiego, która wśród powszechnego entuzjazmu, wyrażała już w Paryżu obawę, by nasza gwiazda polska nie zaciemniła gwiazdy Napoleona.....

35

Obecni przy rozmowie Szeptycki wraz z Załuskim nie taili przykrego zdziwienia wywołanego tem powiedzeniem, wobec czego generałowa nie omieszkła dodać, iż czuła — by się szczęśliwą, gdyby ją złowieszcze przeczucie omyliło, że tego sobie życzy dla kraju i dla męża, ale ogólnego uniesienia i zaufania wobec Napoleona podzielać nie może...

Z Paryża, obaj przyjaciele podążyli do Wiednia i do Krakowa, którego zabytki pokazywał Załuski nieznającemu podwawelskiego grodu towarzyszkowi, poczem rozjechali się w przeciwne strony. Załuski pośpieszył do Warszawy, podczas gdy Szeptycki zaglądnął na czas krótki do Lwowa. Ale obowiązki służbowe nie pozwalały oficerom napoleońskiej armii na zażywanie dłuższego czasu. W pamiętnym dniu dwudziestym czwartym czerwca, gdy cesarz przekroczył Niemen, odkomenderowany był Szeptycki wraz z swym szwadronem do pełnienia służby przy boku monarszym. Nominację na szefa szwadronu otrzymał w dniu pierwszym czerwca, t. r. i uczestniczył we wszystkich ważniejszych bitwach tej kampanii. Był w ogniu pod Możajskiem, dzielił głód i chłód żołnierza, który obdarty i nieopany, znużony długim marszem nie znalazł spodziewanego spoczynku w murach spalonej Moskwy.

Podczas nieszczęsnego odwrotu pułk szwoleżerski, zachowywał wyjątkowy porządek w szeregach i przebył Berezynę bez szwanku, ciągnąc na Mołodeczno do Smorgonii. W tej ostatniej miejscowości szwadron Szeptyckiego otrzymał rozkaz eskortowania Napoleona, który opuścił armię, by dniem

36

i nocą spieścić do Paryża. W Oszmianie zastąpili szwoleżerów holenderscy lansyerzy. W połowie grudnia pułk szwoleżerski wraz z innymi oddziałami gwardii znalazł się w Wierzbolowie, gdzie odbyto dniówkę i obliczono się co do ludzi i koni. Szeregowców znalazło się 412 i tyleż prawie koni, który to stan, nazwać jeszcze można było pomyślnym w porównaniu z innymi pułkami, przedstawiającymi luźne gromady okaleczonych i bezbronnych żołnierzy. Dlatego też przeznaczono szwoleżerów do tylnej straży, okrywającej odwrot armii francuskiej. Komenderował wówczas pułkiem dzielny Jerzmanowski, prawdziwy ojciec żołnierzy, dbały o ich żywność, oraz o wygodę, lecz, w ogniu zapamiętały do ostatecznych granic. Wśród codziennych utarek tylnej straży zdarzało się nieraz, iż któremu z żołnierzy spadła czapka lub zatracił się oręż. W takim wypadku Jerzmanowski natychmiast formował szwadron do szarży i odbierał nieprzyjacielowi i tę drobną zdobycz, byle tylko przeciwnik nie mógł się pocieszyć jakimkolwiek łupem. W końcu kozacy gromieni przy każdej sposobności, przestali atakować szwoleżerów i przednia straż rosyjska postępowała spokojnie za naszą aryergardą.

Z wiosną trzynastego roku rozpoczął Napoleon swą ostatnią kampanię w Niemczech. Nie bez wysiłku zdołał wyprawić nad Ren nową, przeszło trzykrotnie stotysięcy liczącą armię. Za przykładem Prus, oświadczyły się przeciw Francji inne państwa niemieckie. Cesarz chciał uprzedzić grożące mu niebezpieczeństwo i podążył na widownię przyszłej walki.

37

W ostatnich dniach kwietnia był już w Erfurcie, zaś w dniu 1. maja stanął pod Weissenfels, gdzie pierwszy strzał armatni ugodził śmiertelnie marszałka Bessièrès'a, który na czele jednego szwadronu szwoleżerów rozpoznawał pozycje nieprzyjacielskie. Nazajutrz pobił cesarz zjednoczone wojska prusko-rosyjskie pod Lützen i odparł je za Elbę. Zarówno w tej batalii jak w bitwach pod Bautzen i Dreznem, tudzież w walce ludów pod Lipskiem, brał Szeptycki czynny udział. Szwoleżery, lubo srodze poszczerbieni, cofali się wraz z całą armią ku Renowi. Odwrot odbywał się w jak największym porządku, choć nieprzyjaciół ostro następował, a głód i zmęczenie trapiły srodze żołnierza. Pułk przerzedzony został ostatnimi bitwami do tego stopnia, iż jeden jego szwadron składał się wyłącznie z podoficerów.

Napoleon zbiegowstwo było wśród szwoleżerów czymś nieznanem. Po przejściu Renu zostawiono czas krótki na reorganizację pułku, który wysłany do Antwerpii, odwołany został z wiosną czternastego roku do Francji. I znów bił się Szeptycki, pod Brienne i pod Béri au Bac, zaś w bitwie pod Rheims, stoczonej w dniu 8 marca t. r. wziął do niewoli cały batalion Prusaków wraz z dwiema armatami. *Sont ils braves ces Polonais*, powtarzał dnia następnego cesarz, dowiedziawszy się o tem spotkaniu. Za czyn ten mianowany został Szeptycki pułkownikiem i po raz ostatni walczył pod rozkazami Napoleona w pamiętnej bitwie pod Arcis sur Aube, gdzie cesarz z narażeniem własnego życia rzucał się w największy odmet

38

walki, a wysławszy na punkty najbardziej zagrożone szwadrony służbowe, schronił się w czworobok, utworzony przez piechotę Skrzyneckiego, twierdząc, że pod osłoną Polaków czuje się bezpiecznym. Jeszcze raz uśmiechnęło się w tym dniu szczęście władcy Francuzów, zanim go opuściło na zawsze.

Sprzymierzone wojska ubiegły Paryż, który poprzednio już opuściła cesarzowa-rejentka, wraz z czteroletnim królem rzymskim. Senat, uległy służka wszechwładnego cesarza, zadekretował jego złożenie z tronu. Napoleon abdykował w Fontainebleau; marszałkowie, generałowie, dworacy opuszczali go najohydniej, spiesząc do stolicy z białą u piersi kokardą. Wśród owej niepewności dowiedzieli się Polacy, że Kościuszko przebywa w pobliskiej miejscowości, w Berville. Udali się przeto załogujący w Fontainebleau oficerowie polscy do sędziwego Naczelnika, który ich podejmował chlebem i winem czerwonym, powtarzając, że nie może ich niczem więcej ugościć. Prawdopodobnie przedstawił się wówczas Kościuszcze Szeptycki, który w późniejszych układach starego wodza z carem Aleksandrem pewną odgrywał rolę. Na wypadek powrotu do ojczyzny przeznaczał

go Kościuszkę na swego adjutanta. Na razie należało myśleć o teraźniejszości, by uniknąć losu jeńców wojennych. Z polecenia generała Krasieńskiego udali się przeto Szeptycki wraz z Zieloną do cesarza Aleksandra, który przyjął wysłanników polskich jak najlepiej, zapewniwszy im swą opiekę. Na przedstawienie Szeptyckiego, iż wojsko polskie pragnie powrócić

39

do kraju z bronią w ręku, odpowiedział imperator z cechującą go zawsze uprzejmością:

Les braves ne quittent jamais leurs armes.....

Powróciwszy do kraju, przyjął Szeptycki w formującej się armii Królestwa Polskiego dowództwo pułku ułanów gwardyi, lecz nie cieszył się bynajmniej względami carewicza Konstantego. Wielki książę nie lubił, jak wiadomo, napoleońskich żołnierzy, a nadto naraził się despotem pułkownik, ujawniwszy się za honorem jednego z swych podwładnych. Zdarzyło się bowiem, iż dnia pewnego kadet Skarzewski nie uchyliwszy na ulicy furazjerki przed przechodzącym oficerem rosyjskim, został przez niego pałaszem wypłazowany; znieważony żądał zadośćuczynienia honorowego, którego mu oficer jako niższemu stopniem, odmówił. Wówczas Szeptycki wystąpił w obronie podwładnego i wyzwiał Rosjanina na pojedynek. Wyzwanemu służył pierwszy strzał i Szeptycki, ranny, darował życie młodemu przeciwnikowi, strzelając w powietrze..... Czyn ten obruszył wielce carewicza, który ujrawszy pułkownika podczas przeglądu wojsk, odbywanego w dniu 15. kwietnia 1815 roku przez Aleksandra I., już jako konstytucyjnego króla, postanowił się po swojemu zemścić. Imperator przybył na popis w mundurze polskiej gwardyi pieszej i z polskim orderem na piersi. Chwalił głośno postawę wojska i przybywszy przed front ułanów gwardyi, wyraził im najwyższe zadowolenie; w odpowiedzi na co zawołał pułk jednym głosem:

„Niech żyje król!

40

Carewicz usłyszawszy ów okrzyk, wpadł w gniew i nie namyślając się dłużej, posłał do Szeptyckiego adjutanta z uwiadomieniem, iż jest aresztowany. Pułkownik, nie odrzekłszy ni słowa, udał się wprost z placu ćwiczeń do domu, gdzie wszakże niebawem zjawił się drugi wysłannik wielkiego księcia z wezwaniem, by aresztowany udał się z nim na strażnicę. Na to nie przystał Szeptycki, lecz oddawszy pałasz, kazał oświadczyć Konstantemu, iż czując się chorym kładzie się do łóżka..... Wściekłość carewicza nie znała już miary ni granic. Krzyczał, jak opętany do swego otoczenia.

Pourquoi les cris. Vous croyez encore avoir un aventurier. L'Empereur ne veut pas etre aimé. Il, ne veut qu'etre craint, je me f.... de vous et de voire pays!

I kto wie, do czego byłby się posunął roznamiętniony carewicz, gdyby nie wdanie się cesarza, który nietylko wrócił pałasz Szeptyckiemu, lecz nadto obdarzył go orderem św. Anny II. klasy z brylantami. Ale Konstanty nie należał do ludzi, którzyby byli w stanie zapomnieć o urojonej choćby urazie; więc też prześladował nieustannie znienawidzonego pułkownika i ostatecznie zniewolił go do rzucenia ulubionego zawodu. Szablę zamienił Szeptycki na lemiesz ziemiański.

II.

W marcu 1818 roku, otrzymawszy uwolnienie ze służby wojskowej, wraz z prawem noszenia mundur, osiadł nasz pułkownik w dziedzicznej wsi, w Jakubowicach Murowanych, poświęcając wolne od zajęć gospodarskich chwile literaturze. Ożeniony z synowicą Tadeusza Czackiego, z panną Konstancją Czacką, córką Michała, podczaszego koronnego, i Beaty z Potockich, znalazł w towarzystwie życia nietylko osobę wszechstronnie wykształconą, ale też obdarzoną żywą wyobraźnią i wybitnym talentem malarskim. Synowica Tadeusza Czackiego odgrywała w towarzystwie krzemienieckim wybitną rolę. O pannie Konstancji wspominał Karol Sienkiewicz, zdając sprawę z zabawy tanecznej, jaka w roku 1814 odbyła się w Krzemieńcu:

...Lecz cóż to za wspaniała i miła osoba,
Co się każdemu z ruchu, z uśmiechu podoba?
Z ojczyzną sierót uczniów najpierwsza tańczy.
Milczmy — niech po przymiotach, kto zechce, zgaduje.
Skromna, jak on Lucyna w jasnym nocy zmroku,
Toczy się nad ziemią w srebrzystym obłoku.....

42

Dla lepszego zrozumienia rzeczy nie zawadzi nadmienić, że ojczyzną sierót nazywano w Krzemieńcu kuratora, hr. Platę, następcę Czackiego w urzędzie zaś Lucyną nazywali młodzi poeci książęcy..

Dwór w Jakubowicach różnił się wielce od przeciętnych rezydencji ziemiańskich, w których kalendarz i sennik wystarczały w zupełności na zaspokojenie umysłowych potrzeb mieszkańców. Zgasły przedwcześnie wieszcz Miodoboru, Tymon Zaborowski, siostrzeniec Szeptyckiego, przebywający często w Jakubowicach, w tych słowach opisuje tryb życia w domu wujowstwa. — Do południa każdy u siebie pozostaje i zatrudniony jest czemkolwiek bądź, byle nie próżnował. Około południa zgromadzamy się, jemy, czytamy, znowu jemy i znowu czytamy. Z łatwością tu dostać można wiele nowych, polskich i francuskich książek. Dwie bowiem obfite księgarnie znajdują się w Lublinie, i wszelkich nowo wychodzących pism dostarczają...

Nie brakło więc w Jakubowicach, prócz warszawskich pism peryodycznych, dzieł Godebskiego, Brodzińskiego, Kowalskiego — Nowe wiersze pewnego pana Mickiewicza — donosił z Jakubowie Zaborowski jednemu z swych przyjaciół w sierpniu 1822 roku — podziwiano również na literackich zebraniach u Szeptyckich głównie z powodu „oryginalności i trafnego każdej rzeczy malowania...”

Wolen od służbowych kłopotów pułkownik, mógł w końcu odetchnąć swobodnie, dając folę poetyckiej wieniec. Pisał bajki, listy rymowane, ulotne poezye, nie wolne

43

zazwyczaj od politycznych aluzji. Rymów tych nie przeznaczał do druku, jak sam wyznaje we wstępie do części I. „Bajek i Powieści”, zachowanych, w rękopisie w rodzinnym archiwum Szeptyckich, w Przylbicach:

Słabych tych tworów urywki
Pisałem dla mej rozrywki,
Straciwszy część ich niemiłą,
Zebrałem, co mi zostało.
Myśli młodych, myśli różnych,
Czasem dobrych, czasem próżnych,
Czasem nawet i dziecinnych;
Nie dla druku, nie dla innych,
Lecz dla siebie.— W późnym wieku,
(Ciekawość nie śpi w człowieku),
Kiedy się spytam, com robił?
Do czego życie sposobił?
Czym umysł czytaniem wzbogacił?
Czym więcej zyskał niż stracił?
Kiedy się słowem zapytam
O moją wiosnę i lato,
I któż mi odpowie na to?...
Oto sam siebie odczytam.

Jak z dat pod poszczególnymi ustępami umieszczonych wynika, pisał Szeptycki jeszcze za czasów swej służby wojskowej, a niejeden wierszyk mógł go zaprowadzić choćby do Zamościa, gdzie wielki książę zwykł wyprawiać wojskowych przestępców stanu. Posłuchajmy na przykład bajeczki „O rumaku i koniu stepowym”:

Jakiem podejściem człowiek ujarzmił cię podłem,
Pytał się koń stepowy rumaka pod siodłem?

44

Naprzód głąskał — rzekł rumak — obrokiem uraczył,
Włożył uzdę, wędzidło, potem okulbaczył.
Odtąd, gryząc łańcuchy, przeklinam los srogi,
Niegdyś wolny, dziś czuję jeźdźca i ostrogi.

Jeszcze silniej brzmi nuta wolnościowa w czterowierszu p. t. „Despotyzm”:

Despotyzm jest prawdziwą rzecząpospolitą,
Niemasz prawdy, któraby mniej była ukrytą.
Sułtan, wezyr, poddani, wysocy i niscy,
Tam wszyscy sobie równi — nieszczęśliwi wszyscy.

Tęsknota napoleonisty do dawnych sztandarów i znaków, znalazła wyraz w skreślonym w roku 1816 „Mundurze starym i nowym”:

Raz z munduru starego śmiał się mundur nowy,
Jakżeś brudny, wytarty, zszarzony i płowy,
Wszędzie masz szwy i plamy. To prawda, rzekł stary:
Jam zszarzony, bom wojny widział, nie koszary.
Ciągłe pod gołym niebem trwała służba nasza,
Moje plamy z obozu a szwy od pałasza.
Tyś nowy, ale powiedz, jakie masz zasługi?
A choćbyś później zyskał, zawsze będziesz drugi.

Wpływ mickiewiczowskiego „Farysa” przebiega się aż nadto wyraźnie w „Pierwszej miłości nowego Ikara”, którego pieśń początkową rozpoczyna poeta słowy:

45

Jak Ibis z dziećmi w pierwszej ciepła zmianie,
Wzbiwszy się pod obłoki, wśród klekających wrzasków.
Po lazurowym niebios płynie oceanie,
Do swych oazów, ulubionych piasków;
Tak z synem Dedal, z Minosa krainy,
Gdzie go nieszczęsna zagoniła gwiazda,
Puszcza się skrzydłem w napowietrzne płyny,
Do ziemi ojców, do Aten, do gniazda...

Przypomina też „Farysa”, zakończenie pieśni pierwszej:

Pędź Ikarze skrzydłobłogi,
Ptaki z drogi! wiatry z drogi!

powtarzające się z nieznacznymi zmianami w końcowych ustępach pieśni drugiej i trzeciej. Całość poematu, na większe zakrojonego rozmiary, obejmować miała pierwotnie cztery pieśni. Świadczy o tem przypisek, opiewający jak następuje: „I czwarta pieśń miała być, opisująca życie i zgon zbyt wczesny siostrzeńca autora, Tymona Zaborowskiego, młodzieńca pełnego talentu i charakteru najszlachetniejszego. Lecz życie bez celu, imaginacja zbyt wrząca, były przyczyną śmierci, która żałobą okryła familię i Muzy polskie, bo młody poeta już był dał dowody swego geniuszu, Ta czwarta pieśń dla różnych powodów została nieskończona”.

Z listów, pisanych przez pułkownika do Zaborowskiego, zachował się jeden, jedyny, datowany z Sielca w roku 1828. List ten, kreślony naprzemiennie prozą i rymami, zawierał między innymi następującą maksymę:

Was młodych świat zmyślony zachwyca i łudzi,

46

My starsi, z doświadczenia sędzim świat i ludzi,
Wasza droga przyjemniejsza,
Ale nasza bezpieczniejsza.

Wież o tragicznym zgonie ukochanego siostrzeńca, który znalazł śmierć przedwczesną w nurtach Zbrucza, dotknęła boleśnie Szeptyckiego. Pod wpływem świeżego żalu napisał rzewny wierszyk, p. t. „Do Tymona“:

Gdybyś staropolskiego trzymał się zwyczaju,
Byłbyś żył dla miłości, a zginął dla kraju.
Zapomniałeś, że póki Polska w gruzach leży,
Życie nasze nie do nas, lecz do niej należy.
Niechaj twój mistrz, Mickiewicz, pod nieba cię głosi,
I twój zgon werterowski, nad polski przenosi,
Ja, com ciebie nie kochał w romantycznym szale,
Śmierci twej nie przeplaczę, ale nie pochwalę.

Szczerłość i prostota uczucia znamionują również odezwy poety do wiernej towarzyszki życia, Konstancyi z Czackich. Oto jak przemawia do żony w dwunastą rocznicę ślubu:

... Gdy wspomnę na cześć świata, lub dworu przewrotność,
Na tyle prześladowań, na moją samotność,
Jak mi długa godzina biła po godzinie,
Sądziłem, że podobny zwiędłej już roślinie,
Przyjść do siebie nie zdołam... lecz cóż nie pokona,
Bóg, czas, dobra żona.

I znów w „Porach życia“ powraca Szeptycki do ulubionych wspomnień z doby walk napoleońskich, kiedy to

47

Zbrojni ostrzem żelaza i zdrowiem ze stali,
Gdzieżeśmy cię Ojczyzno, powiedz, nie szukali?
Za gwiazdą bohatera, za nadzieją, sławą,
Za sprawą omylonych ludów, drogą krwawą,
Od Tagu aż do Wołgi z bronią się przebiłem,
Tych, co Polskę rozdarli, gromiąc wrogów, żyłem.

Odrębny znów charakter posiadają listy Szeptyckiego, pisane do przyjaciół z Warszawy, po powrocie z kampanii w roku piętnastym. Cechuje je pogodny humor, nie wolny czasem od lekkiej satyry. Oto jak wyraża się pułkownik w liście do Siemiatkowskiego o teatrze narodowym w stolicy:

...Z wizyt odwiedzam teatr narodowy,
Na którym, mówiąc bez żadnej obmowy,
I ciemno i brudno,
I ciasno i nudno.

Trzeba jednak wyłączyć z liczby niedobrych aktorów wielu z prawdziwym talentem, a osobliwie Żółkowskiego i Zdanowicza, którzy:

Często cieszą,
Często śmieszą,
Duby prawią,
Ale bawią.

Kudlicz i Szymanowski zdobią rzetelnie scenę naszą, a osobliwie Ledóchowska, czy w tkliwych rolach, czy w wielkich namiętnościach, jak na przykład w „Makbecie”, zawsze zajmuje słuchaczy:

Czyli smutna,
Czy okrutna,
Wszędzie jej czuła dusza,
Roztkliwia, zachwyca, w zrusza,
A czasem, kiedy się wzmoże,
Płaczą i parter i łoże.

48

Utrzymywał też pułkownik listowne stosunki z Franciszkiem Morawskim. Śladem owej korespondencji pozostała humorystyczna odezwa Szeptyckiego, w której uprasza starszego po lirze druha o wypożyczenie Pegaza, pisząc do głośnego już podówczas bajkopisarza:

Po dawnej znajomości powiedz mi Morawski,
Jak pisać po twojemu, pisać wiersz nie płaski?
Wyjaw mi, w czym się wieszcza zasadza nauka,
Czy myśl idzie za rymem, czy rym myśli szuka?

Przykre stosunki służbowe, jakie za sprawą wielkiego księcia zapanowały w armii Królestwa Kongresowego, znalazły wierne odbicie w liście Szeptyckiego do K., pisanym w roku 1817:

Jedni powymierali, drudzy się rozchodzą,
Co gorsza, im podobni nie prędko się rodzą,
Długo Polska odpocznie po tak wielkich stratach,
Bo ci, którzy zostali, co służą w tych latach,
Co rozkazują kijem lub obcym językiem,
Tyle są Polakami, ile ja Chińczykiem.
O jakże was żałuję, was, których potrzeba
Zmusza być żołnierzami dla kawałka chleba!
Coście z chlubą dla kraju nieśli czyste życie,
O jakże was żałuję, i wy się zmienicie.
Już się duch narodowy mieni, już się traci,

Już i mnie trudno poznać między wami braci.
Widzę mundury, gwiazdy, kalectwo i blizny,
Lecz gdzież jest zapal przodków, gdzie miłość ojczyzny?
Wśród ćwiczeń ustawnych i wojskowych trudów,
Chcecież zostać płatnymi zabójcami ludów?
Bo cóż jest człowiek zbrojny, bez ducha, bez czucia,
Igrzysk o panujących, albo plód zepsucia!

49

Rymy Szeptyckiego, zebrane i spisane przez jego przyjaciół, tworzą dwa spore tomy, zachowane, jak to już wspomniano, w zbiorach przyłbickich, a jakkolwiek pod względem formy utwory te nie są bez zarzutu, to przecież świadczą korzystnie o żywości wyobraźni, oraz o odczytaniu ziemianina-żołnierza, dla którego ruchliwego, żadnego czynu umysłu, przymusowy wypoczynek w wiejskim zaciszu był stanem przejściowym. Z tych przeto względów ubolewać wypada, iż przepadł bez śladu pamiętnik wojskowy Szeptyckiego, obejmujący ważniejsze zdarzenia z czasów jego służby w armii napoleońskiej oraz Królestwa Polskiego. Rękopis owych wspomnień pożyty od autora pułkownik Siemiątkowski bezzwrotnie...

Dopiero po latach dwunastu doczekał się nasz wojownik upragnionej wieści o wybuchu powstania w Warszawie, z której Konstanty umykał bez boju, gnany panicznym strachem, istny arlekin w żołnierskim mundurze.

W pierwszych dniach grudnia 1830 r. otrzymał Szeptycki podpisaną przez księcia Czartoryskiego i Chłopickiego nominację na dowódcę gwardii narodowej województwa lubelskiego. Bez wahania porzucił pułkownik ojczystą strzechę, nie przeczuwając zapewne, iż jej już nigdy nie ujrzy i pośpieszył na miejsce swego przeznaczenia. Lublin nie grzeszył wcale spokojem. Nie brakło w tym mieście wicherzycieli, którzy już stawiali szubienice, by na nich tracić rzekomych zdrajców; motłoch, zawsze skłonny do wyburzeń, burzył się pod wpływem pierwszej lepszej pogłoski, rozsiewanej przez gardłujących

50

po klubach polityków, a tylko zimnej krwi oraz doświadczeniu Szeptyckiego przypisać należy, iż za przykładem stolicy nie przyszło w Lublinie do poważniejszych rozruchów. Wielce pomocnym w tej pracy, jak niemniej w organizacji wojskowej, okazał się wzięty adwokat lubelski, Jan Czyński, dostarczający komendantowi sporo ochotników, zdolnych do wypełnienia szeregów. Zaraz też po objęciu obowiązków komendanta, wydał Szeptycki do mieszkańców województwa odezwę następującej treści:

„Dowódca gwardii ruchomej
czyli powstania w województwie lubelskiem.

Zaszczycony zaufaniem, powierzającem mnie chlubną godność dowódcy gwardii ruchomej w województwie lubelskiem, wzywam obywateli i mieszkańców tutejszego województwa, aby śpieszyli na głos ojczyzny. Żadne poświęcenie się, żadna ofiara dla odzyskania wolności nie była trudną dla Polaka. Wrogi nasze muszą nas widzieć wolnymi, lub tylko pustą ziemię zabiorą. Śmierć albo Polska! — oto nasze hasło!

Lublin dnia 9. grudnia 1830 r.“

Organizacja województwa lubelskiego, jako pogranicznego, połączona była z niemałymi trudnościami, ale przykład Szeptyckiego, który wszystkich swych domowników wcielił w szeregi walczących, podziałał zbawiennie na ofiarności okolicznego ziemiaństwa. W krótkim stosunkowo czasie czternaście tysięcy żołnierza dostarczono wojsku narodowemu i pułkownik nasz myślał

51

już o rozwinięciu sztandaru powstania na Wołyniu. Od dworu do dworu w tamtych stronach krążyły jego odezwy, w których czytamy co następuje:

„Polacy!

Ponieważ wielu z naszych rodaków za Bugiem może mieć jeszcze mylne wyobrażenie o naszym powstaniu, przeto nim władza najwyższa uzna potrzebę ogłoszenia wam onej, ja, jako świadek najszlachetniejszych zamiarów najcenniejszych z całej Polski do steru rządu wybranych mężów, jako dowódca gwardii ruchomej województwa z Wami graniczącego, myśl jawną naszego rządu w treści wam wyjawię. Nie powstajemy przeciw panującemu, ani jego dziedzicznej dynastji. Aż nadto doświadczenie historii nauczyło nas strzedz się obieralnych królów, a ztąd faktyków i anarchiów się mnożących. Celem naszego powstania jest wiecznym porządkiem, opartym na legalnych swobodach i wolności, o ile tylko takowe rozciągnąć się dadzą dla szczęścia wszystkich klas ludzi, utrwalić odrodzenie się całej naszej starożytnej Polski.

Jest to słowem powstanie przeciwko wszystkim nadużyciom, a gdzież ich więcej jak u Was? Sprawiedliwość, ludzkość, łagodne prawa, niepodległość sądów, protekcja wszystkich wyznań religijnych, wolność sumienia, duku i opinii, równość przed prawem, dla wszystkich, obmyślenie funduszy, zastosowanych do stopni urzędników, nieprzedajność, żadnej tajnej policyi, żadnych prześladowań o bezpieczeństwo osób i majątków, wojsko i gwardja narodowa, konstytucja między panującym a nami tak, aby

52

każdy wiedział, co do kogo należy, inwentarze, nieprzechodzące sił ludzkich, czyli druga konstytucja między dziedzicem a włościanami, prawa słuszne dla wojska tak, ażeby zasłużonych oficerów dla małych uchybień w służbie, dla jednego niebacznego słowa po fortcach nie więzili, na Syberyę nie wysłali, na prostego żołnierza nie degradowali, żołnierzy prostych nie kijem, ale honorem prowadzili, oświecenie publiczne rozszerzali — oto są, w treści podstawy naszych liberalnych ustaw. Chcecież do nas, do Europy ucywilizowanej, czy do Azji należeć? Wybierajcie!”

Zanim wszakże rząd narodowy postanowił przenieść walkę na Wołyń, już nieprzyjaciół w dniu piątym lutego przekroczył Bug. Z Warszawy przysłano Szeptyckiemu rozkaz do odwrotu. Wyprawił więc naprzód rząd cywilny, później kadry wojskowe, sam zaś ostatni opuścił lubelskie i przebywszy Wisłę pod Puławami, znalazł się wczas jeszcze w Warszawie, by uczestniczyć w bitwie grochowskiej. Później przeznaczono go do korpusu Dwernickiego, ruszającego na Wołyń. Opuszczając w dniu 17. marca Zawichost donosił o tem pułkownik żonie, bawiącej prawdopodobnie w Krakowskim — „Jutro o godzinie 7 rano — słowa listu

— puszczam się do Dwernickiego, a ciebie proszę, żebyś albo do Dzikowa się udała albo do Krakowa, lub do Wiślicy dla Twojej i mojej spokojności się przeniosła, bo wcalebym sobie nie życzył, żebyś się drugich Puław doczekała. Posyłam ci dwuzłotówkę teraźniejszą z Pogonią. Stoję u pp. Gistlerów, dzierżawców

53

Zawichosta, bardzo gościnnych ludzi i dobrych patriotów. Zapewne z miesiąc widzieć się nie będziemy. Na Wołyniu pozdrowię całą Twoją rodzinę. Jeżeli znajdę i jaką tylko znajdę okazję, napiszę do ciebie. Dotąd ci jednak pisać nie myślę, dopóki się z Dwernickim nie złączę. Jeżeli potrafisz mi o sobie dać znać, tak, żebyś nikogo nie skompromitowała, tobym ci był wdzięczny. Jeżeli nie, to zawsze będę spokojny o ciebie, bo wiem, że to zrobisz, co ci najlepszy przyjaciel twój, mąż radzi....”

Wyruszywszy w połowie marca z kolumną, złożoną z ochotników i z nowozaciężnego żołnierza, mimo licznych starć z uwijającym się po kraju kozactwem, zdołał Szeptycki w miesiąc później połączyć się z Korpusem Dwernickiego, który w dniu szesnastym kwietnia stanął w Boremlu, Jenerał przyjął dawnego towarzysza broni z otwartymi rękoma, teścia jego, Michała Czackiego, zamianował regimentarzem Wołynia i ustanowił w imieniu rządu warszawskiego władze narodowe w tej prowincji.

Dla naszych wojsk sforsowanie przeprawy przez Styr było rzeczą konieczną, gdyż znaleźliśmy się w trójkącie, którego dwa boki tworzyła granica galicyjska; za rzeką stał trzynastotysięczny korpus Rydygera. Należało więc teraz oszukać jego czujność, próbując przeprawy pozorowej. Podstęp się udał. Dwudniowa, (d. 18. i 19. kwietnia), bitwa pod Boremlem, zakończyła się znaczną porażką przeciwnika i otworzyła Dwernickiemu drogę na Kamieniec Podolski. W drugim dniu rozprawy, Szeptycki,

54

dowodzący drugą linią bojową, znalazł zaszczytną sposobność do odznaczenia się. W starciu z jazdą rosyjską złamał ją i wpędził na błota, przyczem pułk huzarów księcia Oranii niemal doszczętnie został zniesiony. Bateria nieprzyjacielska w sile dział ośmiu, wpadła w ręce zwycięzców, którzy otrzymali plac boju. W bitwie pod Boremlem, walczył też zacny Czacki, uzbrowszy naprędce swych dworzan i służbę, który to czyn przeplacił utratą znacznego mienia, zabranego przez rząd carski. Ruiny zamku boremelskiego — opowiada w swych zapiskach jenerał Dwernicki — zostaną na zawsze zaszczytną pamiątką dla właściciela, jako świadectwo, że obok nich z poświęceniem majątku i życia walczył za sprawę ojczyzny!

Nazajutrz po bitwie, gdy korpus Dwernickiego ruszył drogą berestecką, dwa dywizyjony ułańskie pod wodzą Szeptyckiego tworzyły jego straż tylną. Dzielił pułkownik i dalsze losy nieszczęsnej tej wyprawy. Pod Lulińcami atakował z rozkazu Dwernickiego jazdę nieprzyjacielską, chcąc ją, acz bezskutecznie, wciągnąć do walki. Deszcz i zapadający mrok wieczorny były zapewne powodem, dla którego Rydyger niechciał przyjąć bitwy, mimo przeważającej siły, jaką rozporządzał. W dwa dni później, (d. 27. kwietnia), Dwernicki, zagrożony oskrzydleniem przez Rosyan, naruszających granicę galicyjską, musiał szukać schronienia pod opieką władz cesarskich, które go w Klebanówce rozbroiły.

Wszystkich oficerów po złożeniu deklaracji, iż w dalszej walce udziału nie wezmą,

55

wyprawiał rząd austriacki na podwodach do Morawy i Ślązka, podczas gdy żołnierzy pod eskortą wojskową odesłano do Stanisławowa. Ale zarówno kolumny oficerów jak żołnierzy topniały podczas pochodu, gdyby śnieg wiosenny. Kto mógł, uciekał ku granicy, by powrócić na linię bojową a władze austriackie patrzyły przez palce na owe zbiegostwo, dyktowane żądzą dalszej walki. W liczbie replaserów — jak zwano owych zbiegów, w języku urzędowym — znalazł się naturalnym rzeczy porządkiem Szeptycki, który z pomocą zamieszkałych w pasie granicznym krewnych umknął niebawem za kordonem. Powróciwszy do Warszawy, otrzymał w dniu 17. czerwca stopień jenerała brygady, należący mu się od dawna z prawa starszeństwa. „Sam nie wiem, jak długo tu jeszcze zostanę — pisze Szeptycki do żony w liście, datowanym z Warszawy, w dniu 21. czerwca — gdyż wódz naczelny mówił mi, żebym się w Warszawie zatrzymał do nowego jego rozkazu. Złapany od Tolla adjutant, który wioził do Rydygera

rozkazy, wyciął nam projekty nieprzyjaciela. W tych bowiem papierach wyczytano między innymi, że myślą Warszawę dobywać, co mnie się zdaje niepodobnem do skutecznienia. Jeżeli jednak mają sto tysięcy, (a my tu sądzim, że połowę tego zebrać mogą) i podstąpią pod Warszawę, to spodziewamy się tak dobrze ich przyjąć, żeby im chęć odpadła od zrobienia powtórnej wizyty!...

Ta pewność zwycięstwa była w owym czasie ogólną, i podzielała ją nie tylko wojskowość, ale i ludność cywilna w stolicy zamieszkała. Skrzynecki wódz, naczelny,

56

mąż okazałej podstawy, oblicza pogodnego, wyglądał jak bohater, jak natchniony zbawca Ojczyzny. Wały i okopy stolicy zdały się ludowi nieprzebytą zaporą dla wojsk najezdniczych. Na wniosek Godebskiego powziął sejm uchwałę, głoszącą łączność Korony z Litwą i Rusią a równocześnie niemał zawiązał się w Warszawie komitet ziem ruskich, mający popierać organizację powstańczą w prowincjach zabranych. Dowództwo legii litewsko-ruskiej powierzył wódz naczelny w dniu czternastym lipca Szeptyckiemu, który niezwłocznie wydał odezwę do mieszkańców Litwy, Podola, Wołynia i Ukrainy, wzywając ich do zbrojnego powstania. Czytano w niej, co następuje:Bóg i nas nie opuści, byleśmy tylko lat kilka wytrwali, dokonamy cośmy tak świetnie zaczęli. I cóż jest lat kilka? Małą częścią naszego bytu, jedną ledwo kroplą w życiu narodów. Nie wartoż ich poświęcić dla wiecznego szczęścia przyszłych i wiecznej chwały naszego pokolenia? Czarniecki, mimo niezgod sejmowych, które aż do skonania Polski trapiły nieszczęśliwą naszą Ojczyznę, bez żadnych zasobów, prowadząc hufce dzielnych, w kożuchach i w sukmanach, ale zbrojnych męstwem i wytrwałością Polaków, mimo różnych kolei wygranej i przegranej, wygniół i wygnał w końcu różnych i licznych najezdników z kraju. Idźmy za przykładem tego, który czy bił, czy był zbity, ciągle walki staczał, w szczęściu się nie zaślepiął, w klęskach nie rozpacział!...

Prawdziwie rycerska ta odezwa wywarła jak najlepsze wrażenie. Zwłaszcza

57

wśród powstańców podolsko-ukraińskich, którzy po klęsce Daszowskiej przedostali się przez Galicję do Królestwa. Oni to utworzyli konną, legię litewsko-ruską, której dwa szwadrony pod wodzą Aleksandra Wereszczyńskiego należały do załogi

Zamościa, podczas gdy trzeci szwadron, formowany w Sandomierzu, pozostawał pod rozkazami Szeptyckiego, zaś dwa inne, zbierane przez Sobańskiego, nie zdołały przed upadkiem powstania zjawić się na linii bojowej. Jazdę tę składali niemal wyłącznie ziemianie z Podola i z Ukrainy, ludzie majątni, przywykli do wygod, nierzadko już w dojrzałych latach, którzy mimo to pełnili wzorowo służbę szeregowców. Wszędzie, gdzie te szwadrony znajdowały się, wzbudzały ogólny szacunek i jako wybór szlachty i szaloną brawurą, okazywaną w każdym spotkaniu. Kapitanem-instruktorem jazdy był Piotr Garnysz, wychowaniec szkoły podchorążych, który już odbył poprzednio wyprawę wołyńską pod Dwernickim, podczas gdy kapitanem strzelców celnych zamianowany został Franciszek Kuszel, oficer wyrobiony znakomicie w szkole Wielkiego księcia Konstantego.

Mundur pieszej legii różnił się na pierwszy rzut oka od ogólnego umundurowania armii narodowej. Składały go kurtka granatowa z amarantowym kołnierzem i z takimi wyłogami. Na obu rogach kołnierza wyszyta trąbka oznaczała strzelców. Spodnie były jasno szaraczkowe, na buty spadające, z wypustkami amarantowymi. Stroju dopełniała czapka francuska, bez daszka, z przyszytą u góry torbą, zakończoną czerwonym kwastem.

58

Torbą ta spełniała rozmaite posługi. Nocą, używano jej jako podściółki pod głowę, w dzień, jako worka na kartofle oraz na inną jarzynę... W piechocie służyli przeważnie Mazurzy, choć nie brakło wśród szeregow ochotników z zabranych prowincji i z Galicji przybyłych. Organizacją tej broni zajmował się głównie major Józef Szumski, zaś sztabową służbę przy jenerale, prócz pułkownika Kwiatkowskiego, pełnili Aleksander Swieżawski, oficer jeszcze z czasów księstwa warszawskiego, Tadeusz Horain i konduktor kwatermistrzostwa Ignacy Stebnicki. Jakkolwiek na prawym brzegu Wisły uwijały się oddziały rosyjskie, wiedzione przez jenerałów polskiego pochodzenia: Kwietnickiego, Floryana Rzewuskiego, Adama ks. Wirtembergskiego i alarmujące nieustannie wojska narodowe, mimo to formacja legii postępowała prawidłowym krokiem. Nowozaciężnych rozdzielono między starszych żołnierzy, wśród których nie brakło też napoleońskich wiarusów i ćwiczone ich w mustrze oraz w obrotach.

Szeptycki, zamianowany równocześnie dowódcą lewego brzegu Wisły, był w ciągłym ruchu, lustrując powierzone jego pieczy,

drobne komendy, rozrzucone na wielkiej przestrzeni między Sandomierzem a Warszawą, które żadną miarą nie mogły sprostać swemu zadaniu. W ostatnich dniach lipca fałszywe alarmy ze strony rosyjskiej następowały coraz to częściej. Żołnierz nasz nużył się wielce forsownym i marszami oraz stanieniem dzień i noc pod bronią, a na domiar złego niemiecka ludność, osiadła wzdłuż granicy pruskiej, spodziewając się lada chwili

59

powrotu Rosyan, buntowała chłopów i żydów przeciwko władzom narodowym. W niektórych miejscowościach przyszło z tego powodu między ludnością a niemieckimi robotnikami do krwawych rozruchów, które dopiero siłą zbroijną trzeba było uśmierzać. Zbyt późno zoczywszy grożące niebezpieczeństwo, nakazał rząd narodowy tworzenie pospolitego ruszenia wzdłuż lewego brzegu Wisły. Formowano je parafiami. Każda rodzina dostawiała jednego zbrojnego. Stopnie podoficerskie powierzano w pospolitem ruszeniu oficyalistom dworskim, wyższą komendę szlachcie okolicznej, obeznanej z wojskowością a w razie braku odpowiednich kandydatów, oficerom liniowym.

Pospolitacy przybywali uzbrojeni w kosy, w piki, rzadziej w broń myśliwską; oficerowie i podoficerowie posiadali zazwyczaj mundury, przepisane dla pospolitego ruszenia (granatowe z amarantowymi wypustkami), lecz szeregowcy stawali w ubraniu, jakiego w domu używali.

Mieszczkańskie kapoty i chłopskie sukmany tworzyły dziwną pstrokaciznę, ile że na wyćwiczenie i ubranie jednolite pospolitaków już czasu nie stało. Mimo to, biła się ta ruchawka dzielnie, zwłaszcza z kozactwem i rozpędziła kilka drobniejszych oddziałów rosyjskich.

Pospolitaków przed wyjściem w pole zaprzysięgano w kościele i właśnie podczas pobytu legii w Sandomierzu zdarzył się wypadek, iż sprowadzono do miasta kilka parafji, które odmówiły złożenia wymaganej przysięgi. Napróżno w farze wymowny kaznodzieja pouczał opornych o znaczeniu

60

wiedzionej z Rosyanami walki. Napróżno przemawiał do nich poseł Ledóchowski, naczelnik pospolitego ruszenia w tych stronach; zagrzewając do boju o niepodległość kraju. Wieśniacy trwali statecznie w oporze i zaledwo część ich nieznaczna usłuchała wezwania do broni. Inni odpowiadali na wszelki namowy podniesionym głosem:

A pańszczyzna?... To my pójdziemy a nasze dzieci i żony będą zabijać na pańskim....

Ostatecznie wyprowadzono ich coprędzej do domu, gdyż lękano się zdemoralizowania wojska, lecz fakt ów, acz jedyny w kraju, dawał wiele do myślenia...

W ostatnich dniach lipca piesza legia liczyła około czterystu ludzi w szeregach. Z taką siłą nie podobna było bronić przeprawy Rosyanom, lecz co najwyżej można było niepokoić przeciwnika i utrudniać mu rzucenie mostów. Uczyniono to, bez ważniejszego co prawda rezultatu. Tyralierskie utarczki nie przeszkodziły nieprzyjacielowi w przejściu Wisły pod Cieszą, więc na Tarłów, Ożarów i Stodoły cofał się Szeptycki aż pod Opatów, opędzając się postępującym tuż za nim w tropy dragonom. W Opatowie dopiero, gdzie znalazł się szóstego sierpnia, otrzymał jenerał posiłki zwiększające w dwójnasób jego komendę.

Przybyło tam około trzystu strzelców sandomierskich, zwanych popularnie ptasznikami, pod wodzą kapitana Grotusa, oraz drobne oddziały pieszej i konnej legii nadwiślańskiej, dowodzonej przez Chanowskiego, oraz Szumlańskiego. Najważniejszy wszakże sukces przedstawiała trzy szwadrony jazdy

61

wołyńskiej, w sile pięciuset koni. Przywiódł je dzielny pułkownik Różycki.

Równocześnie otrzymał Szeptycki wiadomość, iż cały korpus generała Rydygera, liczący 16.000 żołnierzy i dział dwadzieścia, znajduje się już na lewym brzegu Wisły, wobec czego zamyślał rzucić się w Świętokrzyskie góry, by wieść w nich wojnę partyzancką, której tajniki poznał dostatecznie w Hiszpanii.

Miał też w swym oddziale dzielnego partyzanta, kapitana Gedroyca, dawnego legionistę, którego hiszpańscy guerylasy pozbawili nosa. Nosił więc Gedroyć, przypięty nos woskowy, który ruszając się nieustannie, znanym był w całym wojsku. Chudy, gdyby tyka, ruchliwy jak żywe srebro, nieocenionym stawał się Gedroyć w podjazdowej walce, gdy szło o przecinanie dowozu żywności, o znoszenie podjazdów i pikiet nieprzyjacielskich.

Siódmego sierpnia, po południu, naznaczył Szeptycki wymarsz z Opatowa, gdy nagle wśród mieszkańców rozeszła się wieść o zbliżaniu się znacznych sił rosyjskich. Wojsko stanęło w szyku bojowym za miastem i rozesłano na wsze strony podjazdy, które po upływie dłuższego czasu wróciły z doniesieniem o uwijającym się w okolicy kozactwie.

Pochód odroczonego do dnia następnego a tymczasem przybył do Opatowa późnym wieczorem generał Samuel Różycki z upoważnieniem objęcia naczelnego dowództwa w województwach: Sandomierskiem, kieleckim i kaliskim. Szeptycki bez wahania oddał komendę Różyckiemu, który odwołał

62

pochód w góry świętokrzyskie, zapowiadając zaczepną walkę z nieprzyjacielem.

Nasz generał pozostał przy dowództwie legii, której wyznaczono stanowisko w Winiarach i dopiero w pierwszych dniach września połączył się pod Kawęczynem z głównym korpusem, by podzielić smutne jego przeznaczenie szukania przytułku na galicyjskim terytorium, co nastąpiło w dniu dwudziestym ósmym września tego roku. Różycki, szef batalionu w armii napoleońskiej, zamianowany po powrocie z wyprawy litewskiej generałem brygady i samodzielnym komendantem, nie był w stanie sprostać swemu zadaniu. Osobiście odważny i ożywiony jak najlepszymi chęciami, nie posiadał przymiotów wodza. Miasto skupienia sił, rozprószonych w województwach jego władzy poddanych, pozostawił je bez rozkazów, a sam też nie wiedząc, ani o sile, ani o stanowisku nieprzyjaciela, tracił na bezcelowym w koło niego krążeniu czas drogi i w końcu ustąpił bez chwały z widowni walki.

Wobec smutnego obrazu, jaki przedstawiała bezradność Różyckiego, myśl Szeptyckiego, wiedzenia, wojny podjazdowej w górach Świętokrzyskich była bez porównania szczęśliwszą i ocaliłaby przynajmniej honor narodowego oręcza, składanego zbyt może pochopnie na granicy galicyjskiej.

Jenerał nasz, internowany w Podgórzu, dopiero po długich staraniach uzyskał od rządu austriackiego pozwolenie na pobyt w Galicyi. Pozwolono mu zamieszkać u rodziny, w Samkach Górnych, w majątku Marcina hr. Szeptyckiego, w Brzeżańskim, skąd

63

w lipcu t. r. udał się do Liczkowic, celem odwiedzenia rodzinnego domu. Siostra jenerała, Zaborowska, już nie żyła. Zastał więc tylko młodszego jej syna, Konstantego, który go przyjął „nie jak siostrzeniec, ale jak syn”. Donosi o tem pan Wincenty żonie, przebywającej chwilowo w Jakubowicach, zapraszając ją do rychłego przyjazdu. Życzyłbym sobie osiąść w Galicyi i kupić co w tym kraju, bo mi tu dobrze, bardzo dobrze — pisze jenerał do wiernej towarzyszki życia, w liście z Liczkowic wyprawionym.

I w rzeczy samej, Galicya po upadku powstania zgótowała rozbitkom gościnne przyjęcie. We Lwowie zjazd był wielki z całej Polski; bawili w tem mieście posłowie sejmu warszawskiego: Herman Potocki, Godebski, Aleksander Jełowicki, Worcel i inni. Wychodźcy rozjeżdżali się po całym kraju, utrzymywali korespondencję z rodzinami, pozostałymi za kordonami. Byli wśród nich ludzie zasobni, posiadający konie, powozy, liczną służbę; zaś o losie biedniejszych myślał komitet obywatelski, dostarczający im środków do życia z funduszy składkowych. Powstańcy uwijali się po mieście w wojskowych mundurach, roztrącając austriackich piechurów. Sprzyjał też szczerze wychodźcom gubernator, ks. August Lobkowicz, zapraszając wybitniejsze z ich grona osobistości na urzędowe przyjęcia. Wielkie w całym kraju sprawiła wrażenie deputacya bawiących we Lwowie wychodźców, która w dniu imienin cesarskich pojawiła się w pałacu gubernatorskim, pod przewodnictwem Michała Czackiego, z wyrażeniem życzeń

64

dla monarchy. Książę zapewniał delegatów o jak najlepszych intencjach cesarza i wieczorem zaprosił ich do siebie na bankiet, gdzie zetknęli się z wysłanymi przez rząd rosyjski oficerami, którzy mieli ich namawiać do powrotu.

Dostatek panował wśród wychodźców, a więc nie brakło i nadziei w sercu i wesołości, istic obozowej. Zdarzali się między nimi także szarlatani, ludzie zagadkowi, strojący się w obce pióra, jak na przykład samozwańczy książę Massalski, który wszakże rychło zdradził się gminnymi manierami, tudzież złotowłose bawidama, mieniający się Działyńskim. Ale intruzów zdemaskowano rychło, nie przestając mimo to podejmować gościnne bracie zakordonową. Z uczestnikami rewolucyi, pochodzącymi z Galicyi, postępowały władze nader ogólnie. Co więcej, szeregówcom armii powstańczej, zbiegłych z wojsk carskich, przyjmowano do pułków austriackich, dla osłonięcia ich od wydania władzom carskim. Czynili to przedewszystkiem oficerowie, Polacy, służący w armii cesarskiej, a w szczególności pułkownik Ledóchowski, dowódca trzeciego pułku ułanów.

Mniej sprzyjał tułaczom głównodowodzący, feldmarszałek Fryderyk br. Langenau, ongi jenerał wojsk saskich, który w pamiętnej bitwie ludów pod Lipskiem, opuścił sztandary Napoleona oraz własnego króla, przechodząc na stronę sprzymierzonych. Za ten czyn wynagrodzony został po przejściu do armii austriackiej i wyższym stopniem i licznymi dekoracyami. Langenau był zaciekłym nieprzyjacielem Polaków, a tchórzliwy bez granic, grzeszył przytem

65

naiwnością, posuniętą do najwyższego stopnia. Wiedzieli o tem wychodźcy, i pewnego pięknego dnia, gdy feldmarszałek siedział u siebie na balkonie, ujrzał niespodzianie przejeżdżającego ulicą na dzielnym koniu oficera, przybranego w malowniczy mundur drugiego pułku ułanów polskich. Młodzian ów nieznany, defilował kilkakrotnie przed balkonem przerażonego jenerała i zniknął bez śladu w chwili, gdy zaalarmowana przez adiutantów Langenaua załoga, wyruszyła z koszar na ulice miasta. Sprawcę tej zuchwałej niespodzianki pozostawiła policya w spokoju, i cała śmieszność alarmu pozostała po stronie Langenaua...

Dobre stosunki między władzą a wychodźcami trwały w Galicyi tak długo, jak długo stało Lobkowicza. Z chwilą odwołania księcia Augusta do Wiednia, ustały wszelkie względy, zachowywane wobec tułaczów, wśród których, obok butnej a głośnej młodzieży, nie brakło ludzi poważniejszych wiekiem i stanowiskiem, dawniej zajmowanem. Bezwzględności tej ofiarą padł

między innymi Szeptycki, któremu w Liczkowcach doręczono niespodzianie pismo z urzędu cyrkularnego w Zaleszczykach, zaadresowane:

An den polnischen Herrn Ex Generalen von Szepticki. W akcie tym zrobiono mu zarzut, że samowolnie oddalił się z Sarnek Górnych, i wzywano generała, by natychmiast powrócił do miejsca poprzedniego pobytu, a to pod rygorem użycia przeciwko niemu „innych środków”... Co począł z tym fantem, rozczarowany biurokratyczną gościnnością wygnaniec, niewiadomo. To tylko jest rzeczą pewną, iż wszelkie papiery, dotyczące

66

legii litewsko-ruskiej, złożone w Samkach, uległy zniszczeniu. Spalił je Marcin Szeptycki, w obawie przed rewizyjami, nawiedzającemu ziemiańskie dwory w pościgu za wychodźcami. Generał pozostał w Galicyi, dokąd przeniosła się niebawem jego małżonka, która zdołała ocalić od konfiskaty swe dobra.

Trudy kampanii a bardziej jeszcze zawód bolesny, z powodu nieszczęsnego jej wyniku, wpłynęły ujemnie na stan zdrowia generała. W lecie 1835 roku szukać musiał ulgi w Gastein, gdzie mu się chwilowo polepszyło, tak, iż mógł się przedstawić bawiącemu w tem zdrojowisku arcyksięciu Janowi. Popularny ten pan przyjął generała ze zwykłą mu uprzejmością. Powiedział mu, że nie ma pod swoim dowództwem ani jednego polskiego oficera, z którego by nie był zadowolony.

Za powrotem do Lwowa, gdzie zamieszkał przy dzisiejszej ulicy Kopernika, (l. 20), zaniemógł Szeptycki obłożnie. Choroba czyniła tak szybkie postępy, iż już z końcem tego roku począł się chory przygotowywać na śmierć. Pomocnym w tym akcie był mu czcigodny ks. Samuel Stefanowicz, arcybiskup ormiańskiego obrządku, który mimo sędziwego wieku nie szczędził trudu w niesieniu pociechy religijnej złożonemu niemocą. „Niosąc choremu pomoc dla skutecznego przygotowania się do uczestnictwa Świętych Tajemnic — pisze ksiądz arcybiskup w dniu 19. grudnia t. r. do pani Konstancyi — posyłam książkę o Świętych Sakramentach Pokuty i Komunii. Od pierwszego znaku do drugiego znajduje się tam nauka o odpustach.

67

Jeżeli chory sam może czytać, niech sam czyta. Jeżeli zaś czytanie go kosztowało, zastąp go i czytaj mu. Radzę powtórzyć to czytanie, aby prawdy zbawienia głęboko utkwily mu w sercu. Niech chory przygotowuje się do spowiedzi przez rozbieranie sumienia i niech sobie notuje, aby przy spowiedzi nie zapomniał. W tej książce zawiera się wykład całej nauki chrześcijańskiej. Życzeniem mojem jest, aby chory jedynie czytaniem tej książki zajmował się, a ztąd ożyła jego wiara, wzmocniła się nadzieja i serce jego ogniem miłości Boskiej zagrzało się, a czytania innych rzeczy niech sobie zabroni, mianowicie gazet i ulotnych pisemek, których skutkiem jest rozpróśnienie ducha, którego mu, gotując się do Świętych Tajemnic najbardziej skupiać należy. W przyszły czwartek przed godziną piątą przyjadę do zrobienia posługi duchowej. Oboje was najczulej pozdrawiając, udzielam wam błogosławieństwo pasterskie”.

Zbawienny wpływ zacnego arcybiskupa osłodził gasnącemu wojownikowi ostatnie chwile życia. Rezygnacya i zdanie się na wolę Bożą dodały mu sił do znoszenia cierpień, natchnęły go żarliwą wiarą, miłością ku Stwórcy i bliźnim. Uczuciem tem tchnie „Modlitwa”, ostatni utwór poetycki Szeptyckiego, podyktowany żonie na dni kilka przed zgonem:

*O mój Boże, o mój Panie,
Niech się wola Twoja stanie
Wola Twoja
A nie moja.
Ty wiesz lepiej, co nam trzeba
Jednym zdrowia, drugim chleba,*

68

*Słabym siły, cnoty czynnym,
Twego wsparcia wszystkim, innym
A mnie trochę snu
I tchu.*

W dniu 22. stycznia 1836 Szeptycki oddał Bogu ducha *). Zwłoki jego, przybrane w jeneralski mundur, spoczęły na katafalku, lecz policya lwowska w źle zrozumianej gorliwości kazała je przebrać po cywilnemu... Z jej też polecenia pogrzeb, zapowiedziany pierwotnie na dzień 25. stycznia o godzinie dziesiątej rano, musiał się odbyć już w dniu poprzednim, o godzinie trzeciej po południu.

Chciano w ten sposób zapobiec demonstracyom, lecz mimo przyspieszonej eksportacyi, publiczność wzięła w niej tłumny udział. Młodzież na własnych barkach zaniosła

*) O zgonie generała doniosła Kratterowska *Gazeta Lwowska* w numerze 11. z d. 26 stycznia t. r. umieszczając na czele numeru w rubryce „Wiadomości krajowych” następującą wzmiankę: „Wincenty Szeptycki, były generał b. wojska polskiego, przeżywszy lat 53, umarł tu dnia 22 b. m.” Natomiast klepsydry, rozlepiane na rogach ulic, pomijały milczeniem charakter wojskowy zmarłego donosząc, co następuje: Wincenty Szeptycki przeżywszy lat 53, zaopatrzony św. Sakramentami, zakończył życie 22 stycznia 1836 r. po dotkliwej, długiej słabości z wielką cierpliwością wytrzymanej. Pozostała, nieszczęśliwa żona, krewni i przyjaciele zmarłego, zapraszają nabożnych chrześcijan na obchód żałobny, który nastąpi dnia 25 t. m. o godzinie 10 zrana, do kościoła OO. Bernardynów.

69

drogie szczątki na miejsce wiecznego odpoczynku na łyżakowskim cmentarzu, rozdzielwszy między siebie galony i aksamit z trumny na pamiątkę. Konstancya Szeptycka przeżyła męża o lat dwadzieścia i zmarła w roku 1857 w Sielcu, na Wołyniu, podczas panującej tamże epidemii cholerycznej. Pani Konstancya Szeptycka, wdowa po jenerale Szeptyckim — pisze Henryk Cieszkowski w *Notatkach z życia*, prócz rzetelnych zalet serca gruntowną posiadała naukę i cały szyk wyższego tonu damy a mimo nagięć ekscentrycznych, polskiej matrony powagę. Bezdzienna, wychowywała mężowską siostrzenicę, (Ostrorożankę), a mając i na Wołyniu i w Królestwie majątek, nie trzymała własnego domu nigdzie. Czynna i ruchliwa, przytem głównie w malarstwie zamiłowana, ciągle się z malarskim warsztatem, z farbami i pędzlem, z miejsca na miejsce woziła. Ale bądź z miast, bądź z zagranicy wracała do rodzinnego Sielca, który najmiłszym był dla niej bytem, prawdziwą ojczyzną serca.

Pamięć generała uczciła wdowa pomnikiem w postaci żelaznego sarkofagu, lecz nie mniej na utrwalenie w pamięci ziomków zasłużyła prawa, iście żołnierska postać Szeptyckiego, jako przedstawiciela zdrowej części naszego ziemiaństwa, które nie dla zaszczytów, ani też dla innych korzyści stawiało zawsze na pierwsze wezwanie ojczyzny do szeregu, bijąc się do ostatniej krwi kropli w obronie wiary i wolności. Hasłem tych mężów, gdyby stal hartowanych, gdyby łąza czystych, hasłem napoleońskich weteranów była dewiza: *Usque ad finem!*
